

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 26 kwietnia 1953 r.

Nr 17 403)

ZYGFRYD SAWKO

A WIOSNĄ TEGO ROKU...

Wśród topól, brzoź przydrożnych i w zagrodzie
Michała Dryli huczno. Na murawie
przy świetle księżycowym —
tańczy młodzież.
Jest wielu starszych — przyszli przez ciekawość.

W chusteczkach wokół głowy przewiązanych
i przyboś — cóż takiego,
różnie bywa —
w sukienkach
perkalowych — lipiec, żniwa —
dziewczeta tańczą przy harmonii dźwiękach.

Wesoły wieczór. Śpiewem i muzyką
miniwska ludność, wywabiona z chałup,
tańczyłaby
być może i noc całą,
lecz Dryl usłyszał w radio komunikat...

— Członkowie ZMP! — zebranie głośno zwołał.

Księżyc światło na podwórzu Dryli
znieruchomiło, gdy stanął w koło.
Ucichło wszystko. Chłopak rzekł: Przed chwilą
PIHM podał na najbliższe dni prognozę
pogody — burze, grad i silne deszcze.

I oto
noca
wies spółdzielca zwłozła
z pól zboże, co nieżęte stało jeszcze.

W gromadzie wspólnie — trud najbardziej nawet
mający —
jakże pokonywać łatwo.
I choć przerwała młodzież swą zabawę —
każdemu lśniło księżycowe światło,
harmonii w polu przegrzywały basy...
Gdy milkły — wzniósł nastroj w ich zapale
do życia budził w sercach tony własne
harmonii
nie podobnej do muzyki wcale.

I tylko jeden klawisz tu w zespole
był głuchy —
w pracy przykład zły dla innych,
W krytycznej chwili
opuszcza pole
przewodnicząca ZMP, co w Mini
wciąż dwieście procent przekraczała normy.

Widziano jak tańczyła.
Nikt nie poszedł
jej szukać. Mogła —
jeśli chora — komu
powiedzieć.
Bez niej uprzągnięto zboże.

Michał przed domem widywał w ogrodzie
dziewczynę —
wodę czerpała ze studni.
Zaprzęgiem do szosy podwoził co dzień
ze skupu towar — przejeżdżał w południe.

Kwietniowe słońce świeciło nad wioską
i pola czarne
wiatr obsuszał chłodny.
Miał chłopak myśli zaprzęgnięte troską,
jaką rozmowę
z dziewczyną by podjął.
Pięć kilometrów z towarem do szosy
odbywać musiał —
czasu dość, by o niej
rozmyślać.

Tak gwałtownie przyszła wiosna.

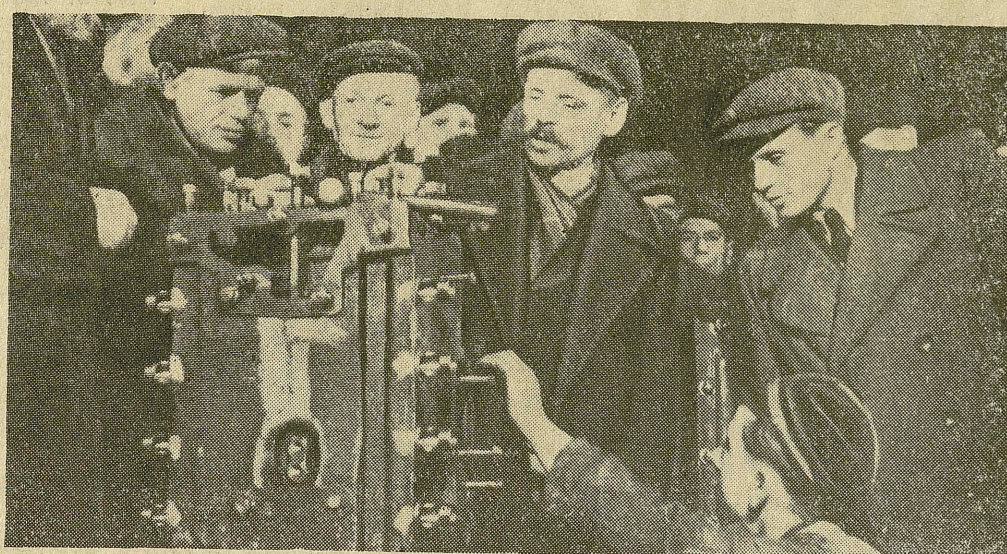
Śnieg stopniał — przez potoki teraz koniem
przeprowadzić się niełatwo.
Któż by autem
do Mini jechał — szofer w Jędrzejowie
na szosie stawał.
Furą co dzień zatem
ktoś musiał z punktu skupu towar dowieźć.

I oto ręką dała znak mu sama.
Zobaczył. Skoczył wprost przez płot. Aż złamał
sztachetę — przybiegł do dziewczyny pędem.
Upomnieć nie zdążyła, że nie tędy.
Mnąc w rękę paki bzu ułamanego
mówiła:
Stronisz zawsze jakoś... Czemu
nie powie mi, co zrobiłam złego.
Wyżalić się tu komu nawet nie mam.

Po roku prawie, na zebraniu Koła
złożyła samokrytykę ze łzami.
Wiosenne siewy w polu dookoła...
Dziewczyna znów
przoduje w pracy z nami.



W dniu 16 kwietnia załoga „Ursusa” przekazała Gospodarzowi Ojczyzny, Bolesławowi Bierutowi, meldunek urodzinowy: Zakłady wypuściły dwudziestotysięczny traktor.



Do robotników „Ursusa”

(z listów chłopskich)

„W fabryce „Ursus” podziwiałam potężne urządzenia techniczne, lecz przede wszystkim — pracę robotników. — Twarda to robota, choć cała jest zmechanizowana. Byłam w odlewni — żar i łomot tu straszny, ale Wam robota idzie od ręki, z zadowoleniem i uśmiechem, niektórzy przyspiwają sobie. Pracujecie pięknie; widać, jak głęboko rozumiecie, czemu służy Wasza praca

Tak się nieraz zastanawiałam, jak to w naszym POM-ie niektórzy traktorzyści nie tak jeszcze szanują traktor jak powinni. Trzeba by tutaj ich przywieźć; popatrz, to i zrozumieliby szybciej. A kto już całkiem źle nastawiony do maszyny, tego niedługo diabli wezmą. Obejdzie się bez ich „usługi” — mamy poważną część traktorzystów, którzy naprawdę dbają o traktor i mają poważne wyniki w swej pracy. I w ich imieniu mogę twardo oświadczyć: nie pozwolimy, Towarzysze z Ursusa, marnować tej broń potężnej, którą wysyłacie na nasze pola, aby przeorywała między i dusze chłopskie; strzec jej będziemy i pilnować jak żenicy w oku.

Anna Tuske
Żukowo (pow. Kartuzy)

„Kiedym się znalazł w fabryce „Ursusa”, objął mnie taki huk, jak w Tatrach podczas halniaka. Ale halniak głuszy nasze życie i pustoszy je, ten zaś wyłacz z hal fabryki żelazne konie, aby przemienić je w nasze życie na wsi. Inny to halniak — robotniczy! Pytali mnie monterzy traktorów czy nie za gorąco mi w góralskim kożuchu. A pewnie, że gorąco. Ale się spocil i dlatego, że w sercu poczułem ciepło z radości wielkiej. Widziałem jak robotnicy dumni są z tej pracy, która niesie w kraj dowody sojuszu robotniczo - chłopskiego i umacnia spójnie, umacnia Front Narodowy.

My, górale spod wierzchołów tatrzańskich — sercem naszym i naszym wysiłkiem jesteśmy przy Was, bracia robotnicy. Więcej masła, mleka, sera, aby Wasza praca lżej szła i raźniej, więcej siłnych, spracowanych rąk chłopskich do Nowej Huty, aby co rychlej poczęła rodzić strumienie żelaza i stali, które przekujecie na życiodajne traktory — takie nasze uroczyste zobowiązanie.

Jacek Michniak
Działosz pod Giewontem

WŁADYSŁAW MISIUNA

KULTURA ROLNA TO TEŻ KULTURA!

W walce o urzeczywistnienie ideału, nauki i idei stalniskich — zmierzamy, jak przypominam i uczy Bolesław Bierut, ku temu — aby w jak największej mierze zaspokajać materialne i kulturalne potrzeby społeczeństwa, zabezpieczyć nieprzerwany wzrost dobrobytu i kultury narodu.

„Urzeczywistnienie te idee możemy tylko przez wzmocnienie naszego wysiłku ogólnonarodowego w walce o uprzemysłowienie Polski, o spotęgowanie wzrostu jej sił wytwórczych, o dalszą przebudowę gospodarczą naszego kraju, o podniesienie tej gospodarki na najwyższy poziom nowoczesnej techniki, o socjalistyczną przebudowę wsi”.

Spotęgowanie wzrostu nowych sił wytwórczych niewątpliwie podniesie naszą gospodarkę na najwyższy poziom nowoczesnej techniki. Ale trzeba zdawać sobie sprawę, że już potęgować wzrost sił wytwórczych, wznoszenie gospodarki tu i tam na poziom nowoczesnej techniki — podniesienie nam nie tylko nowe, potężniejsze środki i sposoby, zmierzające do zaspokojenia w jak największej mierze materialnych i kulturalnych potrzeb społeczeństwa — pokazuje nam równocześnie nieprzerwany wzrost samej kultury (mówiąc ogólnie), od którego to wzrostu na każdym etapie zależy znowu spotęgowanie sił wytwórczych i wznoszenie zapożyczonych galezi gospodarki na poziom nowoczesnej techniki.

Kultura nie stanowi zatem celu, do którego dochodzić będziemy „bez kultury”. A tak się w praktyce często wydaje działaczom terenowym. Ograniczamy nasze zastrzeżenie do zagadnienia: „podniesienie naszej gospodarki na najwyższy poziom nowoczesnej techniki”. Czy z hasła tego nie wynika zadanie stałego doskonalenia metod produkcji? A czy można doskonaląc metody produkcji, podnosić poziom gospodarki w przemyśle i rolnictwie bez przyswojenia sobie przez ludzi produkujących w przemyśle i rolnictwie najnowszych, opartych na zdobycach produkujących badań naukowych — teorii dotyczących tej produkcji? Czy można, powiedzmy dla przykładu, stale podnosić wy-

dajność produkcji z hektara pszenicy czy buraka bez racjonalnej, opartej na naukowych podstawach obróbce ziemi, przestrzegania terminów agrotechnicznych, stosowania odpowiednio dobranego kwalifikowanego ziarna, bez stałego poprawiania przy pomocy wskazanych przez naukę środków struktury gleby, podnoszenia jej żyzności itd. itd?

Rolnictwo nasze jest najbardziej zacofaną dziedziną gospodarki narodowej pod względem stosowania przodującej teorii, przodujących metod. W głównej mierze składa się na to przestarzała i nie odpowiadająca nowym zadaniom forma gospodarki indywidualno - chłopskiej, która jeszcze przeważa w naszym kraju. I dlatego nie jest przypadkiem, że nasz przemysł socjalistyczny tak szybko wyprowadza rolnictwo, które za nim nie może nadążyć, co się daje odczuwać w całym naszym życiu gospodarczym. Nasi chłopcy coraz bardziej to rozumieją i coraz liczniej porzucają starą formę gospodarki indywidualnej i łączą się w spółdzielnie produkcyjne. W zrozumieniu konieczności zmiany i porzucania przestarzałej formy gospodarczej pomagają chłopcom własne nauki i wskazania Józefa Stalina. Jest faktem niezaprzeczalnym, że przodujące osiągnięcia nauki i na ich podstawie podnoszenie produkcji rolnej można w pełni zastosować wszechstronnie i z pozytywnym wykorzystaniem tylko w dużym gospodarstwie zespółowym. Ale nie oznacza to, że nie można ich wykorzystywać w pewnym zakresie również w indywidualnym gospodarstwie.

Kiedy więc stawiamy przed zadaniem oceny produkcji w spółdzielniach i w indywidualnych wsiach — a to jest chleb powstędní działaczy terenowych — czyż wówczas za każdym razem, każdego roku i w każdym miesiącu nie wraca pytanie: Co tu i ile zrobiono, aby nagromadzić doświadczenia i wiedzę, które by podniosły produkcję rolną?

Nieraz słoby nie o więcej jak tylko o uruchomienie już narosłej wiedzy, mniejszej u wielu w gromadzie, większej u przodujących. Czytają chłopcy masowo w gazetach artykuły i porady rolne. Co z tego bliższe dawnej praktyce — stojącej. Co bardziej nowe i „wymyśl-

ne” — zostaje w pamięci, korci ją, często popycha do sąsiedzkich dyskusji, ale też bywa jeszcze odkładane. Kiedy dołączymy tu pogłębione czytanie w broszurach a nie rzadko w książkach przodujących rolników, często specjalistów — okaże się, że już na zapadziej nawet wsi nagromadził się pewien kapitał wiedzy, który trzeba uruchamiać, a nie pozwalać mu gnić na boku dla samego „pomysłunku”. Tym właśnie grzeszą działacze polityczno-gospodarczy. Nie dostrzegają narosłej już kultury rolniczej. A tu trzeba przecież działać w dwóch kierunkach. Organizować dla praktyki tę wiedzę, która już zdobyła umysł niejednego chłopca, ale zastosowania jeszcze nie znalazła. Ośmielać, aby to, co poznane, przenikało do produkcji. Trzeba powtórnie starać się o nieprzerwaną kulturę rolniczej. A jakże to bywa z patronatem działaczy polityczno-gospodarczych pod tym względem? Czy Prezydium GRN interesuje się biblioteką gminną i punktami po wsiach — jaki tam asortyment broszur i książek rolniczych? Podejmowało kiedy inspekcję w GS — jaki tam asortyment książek rolniczych? A przecież po drugiej stronie procesu produkcji bierze udział „z urzędu” — w rozkładzie kontraktacji i planu skupu. Kto przodowników rolnictwa (często odznaczonych krzyżami, nie tylko dyplomami) zachęca do pogłębienia ich doświadczeń przez odpowiednią lekturę, do zawiązania koła czytelników, do prelekcji gromadzkich, do oredowictwa na rzecz tych czy innych kontraktacji, kiedy ich głos „rzeczoznawców” zawazyłby i pchnął gromadę do wzrostu sił wytwórczych — rzeź podniesienie kultury rolnej.

Ciekawy przykład przełamowania nieufnego i często niechętnego stosunku do teorii stanowią mogą dwie spółdzielnie poznańskie, pozostające pod opieką Wyższej Szkoły Rolniczej a mianowicie Tarnowo pow. Oborniki i Turostowo pow. Gniezno. W obydwóch spółdzielniach, które powstały jako jedne z pierwszych w kraju, w pierwszych latach forma gospodarki się zmieniła. A metody pozostały stare. Tak jak na indywidualnym gospodarstwie na oko, trzymano się trójpolówki a często stosowano zupełnie przypadkowe zmia-

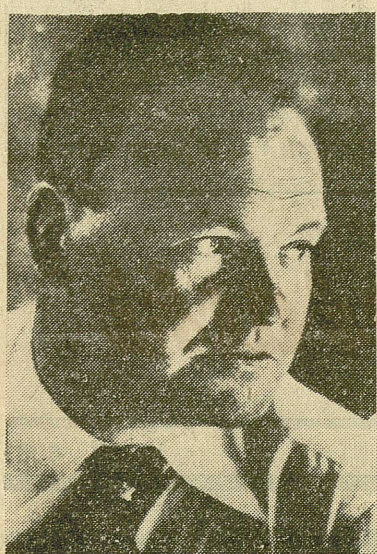
nowanie roślin według zasady „tak widzi mi się lepiej” — zwierzęta żywiono w podobny sposób. Tarnowo nie posiada dobrej ziemi, gleby ma nierównej (3 kompleksy), tak więc na oko gospodarzenie nie mogło dawać dobrych rezultatów. Dopiero gdy zerwano ze starymi metodami i wprowadzono w życie wskazówki naukowców, plony natychmiast się podniosły i to znacznie, bo w ciągu jednego roku z 10 q żyta z ha w 1951 r. do 15,2 q z ha w 1952 r., z 12 q pszenicy do 16,6 z ha, z 18 q jęczmienia do 24,8q, z 18 q owsa do 21,8 q i z 200 q buraków cukrowych do 250 q.

Najbardziej chyba przekonało spółdzielców pokonanie trudności w hodowli. Źródło ich tkwiło w przestarzałych metodach produkcji polowej i w niewłaściwym żywieniu zwierząt. Już pierwsze wskazówki wprowadzone w życie dały wzrost wydajności mleka od krowy z 1770 l. w 1951 r. do 2673 l. w 1952 r. mimo panowania w tym roku pryszczycy. Podobne trudności napotykali spółdzielcy z Turostowa. „Wąskie gardło” stanowiło tam letnie żywienie. Naukowcy poradzi, aby wprowadzić tak jak w Tarnowie taśmę zieloną, tzn. wczesną wiosną rzepak ozimy, żyto ozime, gęsto siane, wykę ożimą z żytem i pszenicą, gdzieś w połowie maja i czerwca lucernę, w lipcu i sierpniu: mniszanki, motylkowce, koński ząb, kukurydza, sonecznik, następnie wsiwki, popłony i kapustę pastewną itd.

Spółdzielcy ociągali się początkowo, wtedy naukowcy opracowali im 3 płodozmiany, 2 połowe wzajemnie się uzupełniające i jeden paszowy, przyfermowy o charakterze usługowym dla produkcji zwierzęcej i wykazali im wyższość takiej organizacji produkcji — powołując się na doświadczenia koleżanów radzieckich. W tej chwili turostowscy opanowali płodozmiany i wyniki na pewno nie dadzą na siebie czekać.

Ale dlaczego opanowują i mimo jakich braków opanowują? Jednym z poważnych braków to słaba współpraca agrotechniczna POM w Kłocku. A przecież POM jest „na co dzień” i reprezentuje sferę praktyki, bliższą spółdzielcom, niż „na-

(Dokończenie na str. 4)



ANDRZEJ SKIBA

SYN LUDU

Francji, ze swoimi świetnymi tradycjami rewolucyjnymi, swą wysoką kulturą, swym duchem ofiarności i swym wspaniałym temperamentem bojowym nie stworzyła potężnej Partii komunistycznej w chwili, gdy rozpoczyna się agonía społeczeństwa burżuazyjnego.

Partia była podówczas młodzieńca, stawiała pierwsze kroki. Lecz miała za sobą pamięć Komuny Paryskiej i miała przed sobą wspaniały przykład radziecki. W walce uczyła się, z zwycięstwach i klęskach, aż stwardniała na granit, okrzepła na stal. „Partia — mówi Sartre, pisarz stojący na skrajnie dalekich od komunizmu pozycjach — jest w chwili obecnej jedynym do pomyślenia reprezentantem wyborców robotniczych. Proletariat — dodaje — jest w całości komunistyczny”.

A wokół francuskiej klasy robotniczej i jej Partii grupują się coraz liczniejsze szeregi chłopów i drobnych mieszczan, powstaje ów sojusz, sojusz aż do końca, klasy robotniczej i klas średnich, który jest wyrokiem na ustrój wszystkich i rękomią, że wyrok będzie wykonany. W czasach okupacji, w mroczach petainowskich Partia jedyna wzniosła sztandar niepodległości i sztandar wyzwolenia.

Nie pozostała samotna: pod jej sztandarami stanęła cała patriotyczna Francja. Dziś darzą ją ufną cię wszystkie odłamy wielkiego francuskiego narodu. Wraz z chłopami Partia walczy o ziemię, wraz z drobną burżuazją o pracę i środki do życia, a razem z całym narodem walczy o pokój — warunek przyszłości człowieka.

I bez względu na środki, do jakich ucieka się satrapa obcych interesów, imperializm francuski — Partia utrzymuje inicjatywę tej walki, inicjatywę działania, inicjatywę polityki. Albowiem „Partia niesie w sobie nadzieję całego narodu, który chce żyć i rozkwitać w wolności i pokoju. Komunizm jest hasłem dnia. Wszystkie napaści, wszystkie oszczerstwa, wszelkie prześladowania wymierzone w komunizm mogą go tylko umacniać i powiększać”.

Tę wielką prawdę Francji rzucił w twarz prześladowcom niezłomny, nieugięty wódz Partii — Maurice Thorez. Górnik i syn górnikarza urodzony wśród kopalń Pas-de-Calais, życie swe spłótł nierozdzielnie z życiem Partii, aż stał się jej sercem, myślą i tchnieniem. I słusznie spisując owoce swych doświadczeń książkę swę dał tytuł „Syn Ludu”.

Urodzony 28 kwietnia 1900 r. w Noyelles - Godault, w departamencie Pas-de-Calais, jako młody chłopak wstępuje do partii socjalistycznej i już od 1919 r. prowadzi akcję na rzecz przystąpienia do III Międzynarodówki. W 1924 r. zostaje członkiem KC Komunistycznej Partii Francji, a od lipca 1930 jest jej sekretarzem generalnym. Po wybuchu II wojny światowej rząd Daladier wywołuje komunistów spod prawa. Thorez schodzi wówczas razem z Partią w podziemie. W lipcu 1940 ogłasza słynny apel Partii „Nigdy naród wielki jak nasz nie będzie narodem niewolników”. Po wyzwoleniu zostaje ministrem stanu, a gdy na rozkaz Trumana rozpocznie się faszystyzacja Francji — kieruje walką, trwającą dotychczas.

Gdy przed trzema laty Maurice Thorez obchodził 50 rocznicę urodzin, robotnik francuski i naród francuski czcił ten dzień jako własne święto. A gdy parę tygodni temu po długiej chorobie wrócił do pracy w ojczyźnie — było to dla milionów jak gdyby na nowo zabiło ich serce, jak gdyby na nowo zaczęli oddychać.

Syn Ludu objął mocną dłoń steru Partii i przewodnictwo wielkiego narodu



Walczące Getto

ZDZISŁAW GRZELAK

W 10 rocznicę powstania w Getcie

RYBUNA WOLNO-SCI w N-rze 32 z 15 maja 1943 r. donosiła:

19 kwietnia salwy wystrzałów w Getcie dały znać Warszawę, że za murami rozgorzała walka. Niemcy zamierzali przystąpić do wywożenia Żydów na stracenie. Oddziały SS atakowały Getto. Wówczas Żydowska Organizacja Bojowa stawiała opór zbrojny. Zaatakowano Niemców granatami i ogniem broni maszynowej i zwykłej. Niemcy po godzinnym szturmie wycofali się. Następnego dnia wysłał ultimatum, żądając kapitulacji. Zostało odrzucone. Hitlerowcy rozpoczęli atak.

Rozwinniśmy treść tej notatki prasowej. Przez 6 tygodni — od 19 kwietnia do 1 czerwca 1943 r. 40 tysięcy bojowników Getta prowadziło bohaterską walkę przeciw siłom wielkiego imperium Rzeszy. Słabo uzbrojeni, głodni, niekani bombardowaniem, zarzucani setkami artyleryjskich pocisków, zepchnięci do życia w zatrutych gazem kanałach dawali przykład nieustraszonego męstwa. Piękna i skuteczna była to walka. Ludzka godność została uratowana a pięciu tysiącom powstańców udało się przedostać na wolność.

Getto. Nazwy tej użyto po raz pierwszy w 1518 r. dla oznaczenia dzielnicy miasta wydzielonej dla Żydów. Słowo, wymazane z życia w XVIII i XIX wieku, wskrzeszili dopiero faszystowskie Niemcy. Stało się ono synonimem głodu, niepewności, upodlenia i śmierci. Miejscem, gdzie życie ludzkie straciło wszelką wartość, gdzie można było zabijać nie-aryjską bez żadnej przyczyny. Za zabicie czapki zbyt późno, za niewłożenie opaski, za rozmowę, za wszystko. W roku 1940 niemieckie władze okupacyjne Warszawy utworzyły tzw. Głęboką — czytając Getto. Istniało trzy lata od 1940 do 1 czerwca 1943 r. W tym dniu z ulic wciśniętych między Powązek, Stare Miasto, Żelazną zostały tylko gruzy. Z 640.000 mieszkańców tylko garstka (ok. 5.000) zdołała uniknąć pogromu. Nieliczni dogorywali w zatrutych przez Niemców kanałach, o czym tak dokładnie pisze w raportach wojskowych Jürgen Stroop — dowódca akcji zduszenia powstania. W historii getta warszawskiego można wyodrębnić pewne okresy różniące się między sobą stopniem nękania w wyszczynianiu fizycznym Żydów. I tak: od lata 1940 roku do czerwca 1941 roku panuje okres względnego spokoju. Codziennie rano o wschodzie słońca otwiera się brama getta z napisem „Dur plamisty”. Oddziały żołnierzy niemieckich wkraczają ze śpiewem „Horst Wessel Lied”. Znamienita jest zwłaszcza jedna zwrotka tej pieśni:

„Und wenn von Messer spritzt das Judenblut
Och! ist das wohl und gut!”
(A gdy spod noża tryska krew żydowska
Ach, jak jest miło i dobrze).

21 czerwca 1941 r. hitlerowski Niemcy napadają na Związek Radziecki. Nazajutrz rano Hitler, Goering i Ribbentrop wygłaszają przemówienia radiowe. Oczadzeni łatwością zwycięstwa na Zachodzie snują plany nowych podbojów i mordów. Każda mowa kończy się wezwaniem: „Bij Żydów”. Wzbiera fala nienawiści rasowej. Dymią krematoria, mnożą się obozy zniszczenia. Mieszkańcy spokojnej, zagubionej wśród lasów wsi Treblinki zostają wysiedleni. Hitlerowcy zakładają tu oboz śmierci. W ciągu niespełna roku ginie tam blisko 400 tys. Żydów z warszawskiego getta.

We wrześniu 1942 r. odwiedza Warszawę „wódz katów” Himmler. Wspólnie z Fischerem opracowuje plan pacyfikacji getta i powołuje specjalny urząd do wyniszczenia fizycznego Żydów pod nazwą Sonderauftragskommission pod kierownictwem dra Feye.

Już od początku walki z okupantem uwidoczniły się wśród mieszkańców getta dwa kierunki. Pierw-

szy — ugodowy nastawiał się na przystosowanie życia gospodarczego i społecznego do nowych warunków, podporządkowania się zarządzeniom, przekupywania faszystowskich władców. Drugi, walczący z okupantem, zjednoczony wokół Żydowskiego Komitetu Robotniczego przygotowuje do akcji oporu, organizuje życie gospodarcze i kulturalne.

Powstaje Żydowska Organizacja Bojowa. Prowadzi szkolenie bojowe, przygotowuje amunicję. 1 stycznia 1943 r. esesowcom nie udaje się pierwszą łapanką, padają pierwsze strzały, wymierzone w hitlerowskich ślepaczy. Na początku kwietnia 1943 r. szef gestapo, Steinfurt, oznajmia przedstawicielom gminy żydowskiej, dr Malejkowskiemu i innym, że władze niemieckie postanowiły zostawić w warszawskim getcie tylko robotników zakładów przemysłowych. Pozostali mieszkańcy mają być przewiezieni do robót leśnych w okolicy Otwocka, najdalej do 20 kwietnia.

Komitet Robotniczy i Komitet Narodowy wydają odezwę do mieszkańców getta.

„Bracia, decyzja zapadła. Stawiamy opór urogowi. Walczcie do ostatniej kropli krwi. Niechaj staną przed waszymi oczyma obrazy Machabeusz, Berka Joselewicza, Berka Majzelsa. Niech żyje naród żydowski! Niech żyje Polska!”

W nocy z 18 na 19 kwietnia grupa bojowców Żydowskiej Organizacji Bojowej usunęła strażników od bramy. Nazajutrz wejście do getta było zamknięte. Przez cały dzień 19 kwietnia trwała cisza. W getcie panowały gorączkowe przygotowania. Każdą ulicę zaopatrzono w oddziały arsenału, w kuchnię i punkt sanitarny. Chorych i starców sprowadzono do bunkrów. O pierwszej w nocy 20 kwietnia 3 kompanie SS wdarły się do getta. Powitano je gradem pocisków. Nikt z nich nie wyszedł żywy. Pierwsze zwycięstwo — w dniu urodzin Hitlera i 20 rocznicę jego panowania. Tego dnia całą Europę pokryły czarne sztandary ze swastyką, tylko w getcie dumnie powiewają na wietrze białe-czerwone i czerwone flagi. Gubernator Fischer zmuszony był odwołać obchód ku czci führera i zarządzić stan pogotowia. Kto wie, czy nie ma racji historyk pisząc, że „Powstanie w getcie było największą klęską moralną Hitlera czasu wojny światowej”. Zaczęła się wojna na „nowym froncie”. Ulicami Warszawy suną oddziały regularnego wojska, jeżdżą kamienie od warkotu czołgów, artyleria zajmuje pozycje. Przyjeżdżają dziennikarze państw „osi”, by dokonać przeglądu nowego frontu. Pisze dziennik włoski „Tribuna”: „Walka o te ulice nosiła zażyły charakter. Niemcy musieli walczyć o każdy dom, Często zdobywie jednego domu oznaczało krwawy wysiłek wielu godzin”. Powstańcy opanowują niemieckie warsztaty i zakłady na terenie getta. Zdobywają mundury i żywność. W nocy z 26 na 27 kwietnia ubrani w mundury niemieckie wkraczają na Pawiak, uwalniając 2 tys. więźniów. Dziesiątego dnia powstania na Placu Krasińskich i przed dworcem gdańskim ustawiono artylerię. Kanonada niemieckich dział trwa przez całą noc. Następnej nocy bombardowanie z samolotów, potem atak niemieckich wojsk ze wszystkich stron. Mijają dwa tygodnie otwartej walki. Topnieją zapasy żywności i amunicji. Wzrasta poświęcenie i bojowość. Bohaterstwo staje się czymś normalnym. Tworzą się spontaniczne „grupy śmierci”.

Przed każdą akcją uczestnicy tych grup składają przysięgę, że nie coina się z placówki.

W tym czasie na ulicach Warszawy polscy patrioci, członkowie PPR, ogłaszają krótką odezwę:

„Polacy! Niemcy wydali wyrok śmierci na ostatnich 30 tys. Żydów w Getcie Warszawskim. Odgłosy strzałów słychać w waszych domach.

(Dokończenie na str. 7)

MAURICE THOREZ

„Dość będzie dla wszystkich chleba i róż”

ZADANIEM klasy robotniczej jest wytworzenie społeczeństwa komunistycznego, spowodowanie jego narodzin z pierwiastków, które dojrzejają obecnie w łonie starego społeczeństwa kapitalistycznego — podobnie jak misję rewolucyjnej burżuazji z 1789 r. było skruszenie ram feudalnych, aby rozwinąć się mógł system produkcji kapitalistycznej, który stał się koniecznością nieuchronną na skutek postępu techniki i rozwoju sił wytwórczych w łonie społeczeństwa feudalnego”. Czerwiec 1939 r.

„Klasa robotnicza ma przed sobą nie zakończenie roku 1789, ale spełnienie roku 1917 ludu francuskiego, objęcie władzy i uprowadzenie dyktatury proletariatu, aby podjąć budowę socjalizmu, aby ruszyć — my również — drogą wiedzącą w komunizm — nieuniknioną i pewną”. Lipiec 1939 r.

„Wyszkolenie księ-kowe nie może wystarczyć. Trzeba się uczyć z największą z książek — z księgi życia. Trzeba się uczyć w walce, w zwycięstwach i klęskach, radościach i trudach. Sto pięćdziesiąt rocznica Wielkiej Rewolucji 1789 r. przypomina nam, że burżuazja francuska rewolucyjną przemogła łamać musiała władzę króla i państwa feudalnych, że terrorem rewolucyjnym musiała się bronić przeciwko wrogom wewnętrznym i zewnętrznym. A rok 1848 i historia Komuny uczą nas, że proletariatu musi ulec, jeśli pozwoli na oddzielenie go od naturalnych sojuszników: mas chłopskich i drobnej burżuazji”. Lipiec 1939 r.

„Zawalenie się kapitalizmu nie jest koniecznością automatyczną. Jego grabież, proletariatu rewolucyjny, kierowany przez Partię Komunistyczną, musi wykopnąć mogiłę i zepchnąć go na jej dno... Wkrótce czytamy w rozstrzygającym etapie rozwoju walki klas. W szeregach

proletariatu i innych warstw pracujących ludności wzrasta oburzenie, wzrasta wola oporu i walki z ofensywą gospodarczą i polityczną kapitalu, z faszystacją skorumpowanej i zburzonej błotem skandali demokracji, z nadciągającą wojną”. Luty 1934 r.

„Ziemia dla chłopów — oto nasze podstawowe hasło... Polityka taniego chleba nigdy nie ma na celu dobra świata pracy, lecz zyski kapitalistów. Robotnik wie, że obniża się cenę chleba, aby mu zniżyć płace... Nie chodzi tu z naszej strony o taktykę okolicznościową. Jest to podstawowy czynnik naszej polityki, zastosowanie tez Marksa i Lenina o konieczności sojuszu, sojuszu aż do końca klasy robotniczej i klas średnich, nie tylko dla zwyciężenia faszystów, ale dla położenia kresu eksploatacji kapitalu”. Styczeń 1936 r.

„Potęgę przemysłową i rolę dominującą w Europie przeznaczącą Amerykanie Niemcom, a ścisłej mówiąc — Kruppom i Thyssenom”. Październik 1947 r.

„Partia Komunistyczna jest partią pokoju. Zrodziła się w walce o pokój, wokół ludzi, którzy podnieśli się z głębi swych krwawych okopów przeciwko pierwszemu wojnie imperialistycznej. Partia Komunistyczna wyrosła w walce o pokój. Od początku walczyła z interwencją mocarstw imperialistycznych przeciw Rewolucji Radzieckiej. Walczyła z wojną i kolonialnym rozbojem w Maroku i Syrii. Walczyła samotnie ze złowrogą polityką tak zwanej nieinterwencji i haniebną kapitulacją monarchijską, które zachęcały Hitlera do wojny przeciw Francji i całemu światu. A później, na ziemi oczyszczonej wydanej urogowi przez monarchistów i ludzi z Vichy, na ziemi zdradzonej przez jej rzekomą elitę, Partia Komunistyczna, ona jedna — jyna wzniosła sztandar niepodległości narodu, wzniosła sztandar

wyzwolenia Francji w walce zbrojnej z najeźdźcą i zdrajcami.

Dziesiątki tysięcy Francuzów, wychowanych i ukształtowanych przez Partię — która jest szkołą oddania, poświęcenia i szlachetności — oddało życie, aby żyła Francja. Francja wolna, niepodległa i demokratyczna. Ale nowi bojownicy ustawiali coraz tłumnie, coraz liczniejsi. „Ze wszystkich rodzajów nasienia powierzonych ziemi — pisał Balzac — krew męczenników rodzi najszybsze zbiorczy”. I dziś, znów jako partia, nasza Partia Komunistyczna zwalcza plan amerykański zniewolenia Francji i rozpętania trzeciej wojny światowej. Jako pierwsi wskazaliśmy, że plan Marshalla jest narzędziem podboju i wojny. Jako pierwsi wskazaliśmy, że Pakt Atlantyczny jest zamysłem wojny i agresji. I większość Francuzów, otwarcie lub w głębi serca, przyznaje — już nam rację i jest wdzięczna za jeszcze jeden dowód dalekowzroczności i odwagi.

Partia niesie w sobie nadzieję całego narodu, który nie godzi się z wojną i niewolą. Niesie nadzieję całego narodu, który chce żyć i rozkwitać w wolności i pokoju. Komunizm jest hasłem dnia. Wszystkie napaści, wszystkie oszczerstwa, wszelkie prześladowania wymierzone w komunizm mogą go tylko umacniać i powiększać.

„Społeczeństwo kapitalistyczne jest skazane. Musi ustąpić miejsca i ustąpi miejsca socjalizmowi i komunizmowi. Nowe stosunki produkcji, oparte na kolektywnej własności środków produkcji, pozwolą na nieograniczony rozwój sił wytwórczych i możliwości człowieka, który się stanie panem przyrody. Wówczas szczęście i pokój zapanują na całej ziemi. Wówczas, jak mówił Marks, będzie dla wszystkich „dość chleba i róż”.

Cokolwiek się zdarzy — przyszłość należy do komunizmu”. Kwiecień 1950 r.

GEORGE BIDWELL

W AFRYCE ROŚNIE TERROR I WALKA

S PRAWIEDLIWOŚĆ musi być jedna dla Afrykanów, Europejczyków i Azjatów, niezależnie od rasy i koloru ich skóry”. Słowa te wypowiedział Jomo Kenyatta, przywódca ludów afrykańskich Kenii, gdy go stawiono przed sądem białych plantatorów. Ale i ów trybunał i władcy kolonialni Kenii dalecy są od stosowania jednej miary sprawiedliwości do wszystkich obywateli kraju. Dalecy od przestrzegania tych właśnie zasad, z których wyrósł ongiś burżuazyjna demokracja. Toteż miliony ciemnoskórych obywateli znajdują się poza prawem: w sądzie, w parlamencie, wobec władz administracyjnych, w obliczu zbrojnych, czy indywidualnych aktów białego terronu, białej samowoli.

Jomo Kenyatta został skazany na 7 lat ciężkich robót, choć nie popełnił żadnego przestępstwa nawet z punktu widzenia praw ustanowionych przez zamorskich najeźdźców jego kraju. Domagał się zniesienia ograniczeń rasowych, przedstawicielstwa dla Afrykanów we władzach ustawodawczych kolonii, sprawiedliwego podziału ziemi.

I konstytucji i demokracji i wszelkich innych zasad z wyjątkiem zasady najwyższego zysku. Konstytucja nie jest odpowiednim narzędziem wyzwisku, na drogach demokracji trudno uprawiać rasizm, u-rzeczywistniać nieograniczone u-cisk, zaprzeczać obywatelom praw obywatelskich. Nie można — jak mówił przysłówie — zachować placu i zjeść go. Demokracja i kolonializm nie mogą współistnieć.

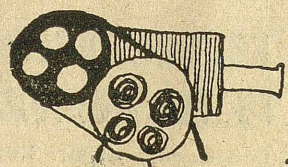
Dlatego plantatorzy w Kenii stosują już od dawna obozy koncentracyjne, organizują getta, urządzają wyprawy karne, w toku których system doraźnych rozpraw, strzelania i wieszania jest zjawiskiem codziennym. Ale obecnie to wszystko okazało się nie wystarczające. I gubernator Kenii, sir Evelyn Baring, zapowiedział że wobec „burzenia się” ludności wprowadzi te same metody, które „z takim skutkiem” stosują władze brytyjskie przeciw walczącym o wolność narodom malajskim. Znamy te metody. A więc odąd i w Kenii wsie będą bombardowane, zbory niszczone lub polewane trującą substancją, zabijającą i będącą ziemią i wodę. I kto wie, czy już wkrótce nie ujrzymy na zdjęciach tych samych o-stawionych „łowców głów”, którzy na Malajach występowały z takim „powodzeniem” fotografując się o-bok kolekcji głów pomordowanych przez siebie bojowników niepodległości.

W tym samym dniu, kiedy gubernator Kenii ogłaszał swą zapowiedź, z terenów położonych o 2 tysiące km na południe nadeszła wiadomość o „uchwaleniu” w drodze referendum Federacji Środkowo-Afrykańskiej. Wejść do niej mają Rodezja Północna i Południowa oraz Nyasaland. Znamienne to było referendum, w którym prawo głosu przysługiwało 50 tysiącom osób z czego 49.600 białych i 400 Afrykanów, choć Afrykanów Rodezja Południowa liczy 2 miliony. W Rodezji Północnej i Nyasalandzie referendum wcale się nie odbyło, tam bowiem decyzję powzięły ciała ustawodawcze złożone wyłącznie z białych.

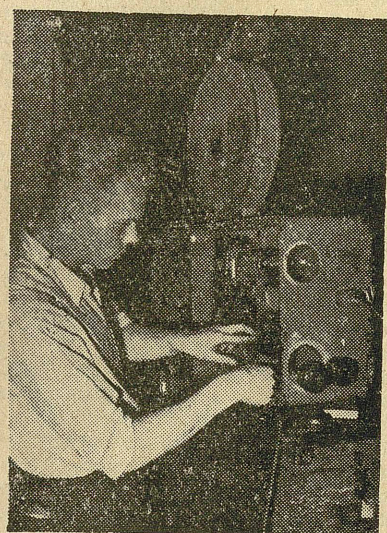
I o to właśnie chodzi. O umocnienie władzy białych plantatorów, o przyłączenie Rodezji Południowej, gdzie Afrykanie mają nikłe szanse, i uprawnienie do obszarów, gdzie wszelkich praw zostali już pozbawieni.

Wszystkie trzy kraje obfitują w bogate złoża mineralne, przede wszystkim w miedź. Biali właściciele terenów nie dysponując dość wielkim kapitałem inwestycyjnym zwrócili się do finansistów amerykańskich i uzyskali tam zapewne nie dopływu znaczących kredytów z tym jednak wyraźnym warunkiem, iż panowanie rasy białej będzie absolutne i niewzruszone. Powstanie Federacji ma właśnie umożliwić uczynienie zadość temu żądaniu. W sposób najprostszy i naj-

George Bidwell



w odwiedzinach u kierowników kin i radiowyszłuchaczy



„Kawaler Złotej Gwiazdy”

O TO trzy różne losy „Kawaler Złotej Gwiazdy”. W Chodakowie (pow. Sochaczew), kiedy wysyłałano ów film, po nim zas „Opowieść o prawdziwym człowieku” — bileterka, dzieła ob. Wacława Marcinkowskiego (Kawaler Złotej Gwiazdy) i Polewoja („Opowieść o prawdziwym człowieku”) sztuk 604 na sumę 1.239 zł. Należy podziwiać pomysłowość kierownika kina Aleksandra Klocka i można być zadowolonym obrotnością Domu Książki w Sochaczewie oraz tamtejszej Delegatury RUCH-u. Podziw i zdumienie pomagają nam nie zapomnieć o tak cennym wynalazku organizacyjnym w zakresie upowszechniania kultury. Wyraża on jedną z form wiązania w terenie różnych prac kulturalnych. Wykorzystywanie jednego zakresu na rzecz drugiego. Wzmocnienie natarcia przez równoczesne uderzenie na kilku odcinkach frontu rewolucji kulturalnej. Czy ta metoda „kompleksowa” jest słuszną? Przykład Chodakowa mówi, że bardzo jest potrzebna robotnikom i pracującym chłopom. Przecież te sprowadzone książki i błyskawiczny, żywiołowy ich zakup określają marę powodzenia i oddziaływania filmu.

Oto sprawdzian przeżył. Oto miernik zbudowanej przez te filmy energii twórczej, zapasu do kultury. Ta energia i ten zapas nie rozprysnęły się, bo dano im bodźce i warunki do przelania w nowy czyn kulturalny, w nowe przeżycia, w wyższe i głębsze utrwalenie wartości artystycznych i ideologicznych.

W Stargardzie Łobeskim (woj. szczeciński) „Kawaler Złotej Gwiazdy” inny święcił triumf. Wyświetlano go kierownik kina, Józef Sołowaj, przetestował „Wesoly Jarmark” a po „Kawalerze” — „Światła w Koordii”. Skutek był taki, że chłopi z sąsiedniej gromady Dobrzyce samodzielną — jak powiada kierownik Sołowaj — założyli Spółdzielnię Produkcyjną.

Zgola inaczej było w Bralinie (pow. Kępno). „Bo choć tu ludność wiejska — jak twierdzi kierownik kina — orientuje się bardzo dobrze co do jakości filmów i już po reklamowaniu filmu z góry można się dowiedzieć o jego przyszłym powodzeniu” — niestety, tutaj jeszcze nie wyświetlano ani „Kawalera Złotej Gwiazdy” ani „Opowieści o prawdziwym człowieku”, ani „Wesołego Jarmarku”, ani też „Światła w Koordii”. Morał z takiej polityki niechże wyciągnie Okręgowa Delegatura Filmu i Kinotekacji w Poznaniu, tudzież inne.

Premiery

Czy można mówić o premierach w wiejskich kinach? Każdy następny film staje się na wsi czy w osadzie premierą.

W Czarnym Dunajcu „Stalowe Serce” i „Czarny Złot” weszły na ekran po raz pierwszy w bieżącym roku, podobnie w Stargardzie Łobeskim „Pieśń tajgi” i „Ulica graniczna”, podobnie w Chodakowie „Zaloga” i „Zakazane piosenki”.

Stare filmy? Ale czy mówi się o książkach — stare książki? Czy nie wraca się do tych samych książek? Czy ci, którzy w swoim czasie przeczytali „nowości” a rozgłoszone zaciekałymi nie chcieliby ujrzyć tego filmu nawet po latach? Na провинции echa, jak to bywa, spóźnione poprzędają i zapowiadają wiele naraz filmów, granych już dawniej w stolicy i wielkich miastach. Przeto widz wiejski spóści się do kina, jak czytelnik do biblioteki. Ciekawo go co ujrzy z wyboru znanego: mu już ze słyszenia. Bywa co raz częściej, że chce sam wybrać i ustanawiać kolejność. „Nowości” rozumie inaczej. Nowym dla niego jest każdy film, bo nowe to — w jego pojęciu — dzieło sztuki filmowej. Nowy dla niego jest film, który trafia w jądro spraw społecznie ważnych i aktualnych w terenowych warunkach.

Wreszcie, skoro użyliśmy porównania z biblioteką, daleko ważniejsza staje się dla chłopów suma poznanych filmów — ta mała biblioteczka kinowa, która nasyciła wyobraźnię i zostaje jakoś w pamięci. Warto zdać sobie sprawę co w tej dziedzinie znaczy kwartał, 20 — 25 filmów. Obejmują one pozycje: krajową, Związku Radzieckiego i Demokracji Ludowych. Sięgają do historii i obrazują współczesne życie, oddziałują okres Rewolucji Październikowej, lata budownictwa

przemysłowego w Związku Radzieckim, powstawanie kolchozów. Ukazują bohaterstwo ludzi radzieckich w Wojnie Ojczyźnianej, wyzwolenie, budownictwo powojenne, świat komunizmu w kolchozach i w okręgach przemysłowych.

Przedstawiają nowe życie w krajach demokracji ludowej. Ten krąg tematów, terenów akcji i problematyki to wielka szkoła pogłębiania świadomości socjalistycznej i patriotycznej chłopów.

Przejrzmy dla sprawdzenia tytuły filmów w dwu chociaż kinach za ubiegły kwartał.

Oto, co wyświetlano w Chodakowie (woj. warszawski):

TARAS SZEWCZENKO — produkcji radzieckiej
SALAWAT WÓDZ BASZKIROW — produkcji radzieckiej
ŚWIAT ŚMIEJE — produkcji radzieckiej
LENIN W 1918 R. — produkcji radzieckiej
SEKRETARZ REJKOMU — produkcji radzieckiej
DZIEWCZYNA Z BALETU — produkcji radzieckiej
ŚWIATŁA W KOORDII — produkcji radzieckiej
ZALOGA — produkcji polskiej
WYŚCIG POKOJU — produkcji polskiej



MŁODOŚĆ CHOPINA — produkcji polskiej
ZAKAZANE PIOSENKI — produkcji polskiej
PRAGNIENIE — produkcji polskiej
AWANTURA NA WSI — produkcji polskiej
WYZWOLONA ZIEMIA — produkcji polskiej
NA MANEWRACH — produkcji polskiej
PRZEKŁĘTA WYSPA — produkcji polskiej
W POGONI ZA SŁAWĄ — produkcji polskiej
ROZSPIEWANA DOLINA — produkcji polskiej
ŻYCIE ZWYCIĘZCY — produkcji polskiej
CORKI CHINY — produkcji polskiej

W Czarnym Dunajcu (na Podhalu):

TARAS SZEWCZENKO — produkcji radzieckiej
NIEZAPOMNIANY ROK 1919 — produkcji radzieckiej
NA ODSIECZ CARCYNA — produkcji radzieckiej
ŚWINIARKA I PASTUCH — produkcji radzieckiej
NA ARENIE — produkcji radzieckiej
SPOTKANIE NAD ŁABĄ — produkcji radzieckiej
BOHATEROWIE NASZYCH CZASÓW — produkcji radzieckiej
ŚWIATŁA W KOORDII — produkcji radzieckiej
DALEKO OD MOSKWY — produkcji radzieckiej
EKSCESS MOSKWA — produkcji radzieckiej
KONIK GARBUSEK — produkcji radzieckiej
STALOWE SERCA — produkcji polskiej
WARSZAWA — produkcji polskiej
CZARCI ZŁEB — produkcji polskiej
ZEW MORZA — produkcji polskiej
W POGONI ZA SŁAWĄ — produkcji polskiej
ZAPORA — produkcji polskiej
POCALUNEK NA STADIONIE — produkcji polskiej
NA MANEWRACH — produkcji polskiej
UCIECZKA Z NIEWOLNI — produkcji polskiej
CZŁOWIEK BEZ JUTRA — produkcji polskiej

Kierownik kina w Bojadle (woj. zielonogórski) obliczył, że w trzech kwartałach wyświetlił 70 filmów, w tym radzieckich 27, węgierskich — 7, włoskich — 2, NRD — 10, chińskich — 3, polskich — 7, czeskich — 12, rumuńskich — 1, bułgarskich — 1.

Co się podoba?

Na to pytanie przytoczymy odpowiedzi kierowników wiejskich kin. Nie jest to jedynie miarodajna opinia. W następnych numerach zabiorą głos widzowie.

Niechże więc teraz, jako czytelnicy, przesyłają uważnie oceny kierowników kin, aby w dyskusji nie przepuścić żadnego uchybienia. Pracownicy kinowi mają swój statystyczny i kasowy punkt widzenia. Trochę z nich kupcy, choć nie do swojej kieszeni. Przywykli przeto dzielić swoich klientów na grupy, co do których z góry już wiedzą, jaki by pasował „tytuł”. W podziale na grupy i w doborze „ty-

tułów” panowie kierownicy nie odkrywają Ameryki.

Dzieci (wiadomo — są) — bajki dla nich! (też nie wynalazek), młodzież — miłosne filmy, sportowe, wojenne, z przygodami. Starsi — to najczęściej — „ludzie pracy”, więc „żeby uprzyjemnić zadowoleniem swe życie po pracy w polu i rozerwać ten czas na wesoło”. Tak właśnie wywodzi kierownik kina w Bojadle, Jan Tyrokowski. Ale ten „zawodowy” punkt widzenia wpada w sprzeczność z obserwacją. Kiedy z tej strony pociągają za język ob. kierownika, dowiemy się, że „ciekawości chłopów co do zdobycia wiedzy i techniki z filmów to można powiedzieć 75 proc.”.

„Starszym jak biedniakom i średniakom przeważnie podobają się filmy takie, jak „Oni mają ojczyznę”, „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Pieśń Tajgi”, „Jak hartowała się stal”, „Niezapomniany rok 1919”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”. Co więcej, te właśnie filmy „cieszyły się największym powodzeniem”.

Bardziej ogólny jest kierownik Czarnego Dunajca, Jan Kozakiewicz.

„Największą frekwencją — powiada — cieszą się filmy o tematyce historycznej, („Piotr I”) wojen-

nej („Śmiali ludzie”), sportowej („Cywil na stadionie”), komediowej („Wesoła trójka”) i miłosnej”. Do tego indeksu można by wpisać jeszcze kilka innych rodzajów. Odpowiada on prawdzie, ale jej przez to głębiej nie odkrywa.

Kierownik w Chodakowie, Aleksander Kłock, również zabrał w sprzeczne oceny. Bo jak robotnicy — rozumie — a w Chodakowie są Zakłady Włókien Sztucznych — jak „tereny przemysłowy”, to robotnikom „podobają się filmy o przemysle, z których czerpią wiadomości i doświadczenia z innych krajów socjalizmu i demokracji ludowej, jak mają usprawiać pracę w naszych zakładach”.

Podaliśmy wykaz filmów, wyświetlanych w Chodakowie za ubiegły kwartał. Konia z rzędem temu, kto wskaże na tej liście kilka filmów, uczących „jak robotnicy w Chodakowie mają usprawiać pracę”. Prawdziwy ambaras. Czyżby więc żaden film nie podobał się robotnikom? Przeciwnie, podobali się: Zaloga, Zakazane piosenki, Świat się śmieje, Sekretarz Rejkomu, Lenin w 1918 roku.

„Jeżeli idzie o filmy o tematyce wsi, to na naszym terenie filmy te nie zdają egzaminu, dlatego, że teren nie jest nastawiony na produkcję rolną, lecz przemysłową”. Masz ci los. Ale wszak nie kto inny, jak wy ob. kierownik patronowaliście sprzedaży powieści Babajewskiego po wyświetleniu „Kawalera Złotej Gwiazdy” i sprzedano 600 egzemplarzy!

Zajrzyjmy do Charsznicy, przychodzą tu do kina również chłopcy z pobliskich wsi Chodowice, Umieję — kolonia, Witowice (co stanowi 30 proc. frekwencji) kierownik kina, Bolesław Kozioł, dzieli publiczność na dwie grupy. Młodzież — tu największym powodzeniem cieszyły się filmy: Świat się śmieje, Wycieczka, Sport milionów, Kawaler Złotej Gwiazdy, Zaloga, Jak hartowała się stal, Sekretarz Rejkomu, Cywil na stadionie, Nauczyciel.

Robotnicy (i chłopcy) — tu: Młodość Chopina, Jak hartowała się stal, Wesoły Jarmark, Kawaler Złotej Gwiazdy, Daleko od Moskwy, Stalowe serca, Przysięga, Zaloga, Pieśń Tajgi, Sekretarz Rejkomu, Przyjdą nowi bojownicy.

W Stargardzie Łobeskim „robotnikom, chłopom a zarazem młodzieży” podobali się filmy takie, jak W obronie ojczyzny, Bitwa stalingradzka, Pieśń Tajgi, Niezapomniany rok 1919, Lenin w 1918, Akcja B, Dziewczyna i traktor, Brunatna pajęczyna, Ulica graniczna i Młodość Chopina.

Tyle z obserwacji kierowników kin, którym w tej sztuce przyszkadza nawyk kupiecki, włączający obserwację w gotowe szufladki, jakich się nie ustrzegł również kierownik ze Stargardu tobeżkiego: „najwięcej publiczność chce oglądać filmy wojenne i walki, pogonie i teraźniejsze o przemysle o klasie robotniczej”.

Wacław Palik

STANISŁAW KRAKOWIAK

MÓWI RADIOWEŻEL KOLUSZKI!

KĄŻDEGO dnia po południu od godz. 15.50 rozlega się z głośników radiofonii przewodowej mocny, donośny głos: „Halo! Halo! Tu radioweżel Koluszki. Nadajemy program lokalny”. Spracowana ręka chłopka z Borowej, Gałkowska czy z Rokicin sięga do głośnika i przekręca gałkę na głośniejsze. To samo czyni kolejarz w Koluszkach czy Słotwinach. Przecież mówią Koluszki, nasz radioweżel; może dziś będzie jakaś wiadomość o nas, o naszej gromadzie, o naszej parowozowni czy cegielni. Warto posłuchać.

Ale już pierwsze zdania orientują słuchacza, że idzie komunikat, najczęściej długi, nudny i urzędowy. Po nim trafia się pogadanka — z reguły na tematy rolnicze, po czym lektorka koluszkowskiego radia ogłasza z ulgą: „Na tym kończymy nasz program lokalny”.

Słuchacz na próżno czeka na wiadomość z terenu, na jakiś temat żywszy, atrakcyjny, na felieton, reportaż czy dialog, pogadankę o żywych ludziach; radioweżel Koluszki stał się w najlepszym razie „urzędową” tubą Prezydium Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej.

W bieżącym roku, do dnia 15 kwietnia, radioweżel nadał 26 pogadek i 29 komunikatów. Jeśli idzie o pogadanki — 9 z nich było na tematy rolnicze — ogrodnicze, 4 — o hodowli bydła, 4 — z zakresu propagandy spółdzielczości produkcyjnej i 9 o innej treści np. o akcji sanitarno-porządkowej, przeciwpożarowej itp.

Komunikaty dotyczyły spraw takich, jak wpłaty podatku, podziału miasta Koluszek na bloki, zaawidowania o zebraniach, odczytach i meczach.

Spójrzmy na autorów pogadek i komunikatów. Najwięcej pogadek na swoim koncie ma zapisane Prezydium PRN, a zwłaszcza wydział Rolnictwa i Leśnictwa, dalej idzie Komitet Powiatowy PZPR, Komitet do Spraw Radiofonii, Prez. MRN w Koluszkach, PSS Koluszki, Cegielnia, Klub Sportowy, GS Koluszki, GRN Mikołajów.

Poza wyżej wymienionymi instytucjami (muszę się przyznać) tylko ja jeden „popeniłem” kilkanaście pogadek i reportaży. Podałem do Komitetu redakcyjnego artykuły na tematy: „Rozwój czytelnictwa w gminie Łaznowa”, „Jak pracują kobiety w Gminnej Komisji Zdrowia w Rokicinach”, jak przebiega wpłata zaliczki podatku gruntowego w gminie Mikołajów, jak podnosi się hodowla kur w powiecie brzezińskim itp. Podrzucałem do radioweżla wycięty artykuł ze „Wsi” pt. „Kobieta w kolchozie” pióra członkini spółdzielni produkcyjnej z Felicjanowa k. Koluszek, Kornackiej.

Rozumiem, że mój wkład pracy w ożywienie tematyki programu radioweżla jest jeszcze niedostateczny, że nie przekonałem jeszcze wielu kolegów — nauczycieli o konieczności zainteresowania się i nawiązania bliższej współpracy z komitetem redakcyjnym. Nie sygnalizowałem tego stanu rzeczy w komitecie powiatowym i w Prezydium Pow. i Miejskiej Rady Narodowej.

Sądzę, że zbliżające się dni Oświaty, Książki i Prasy — skupia mocniej i głębiej uwagę przyzwoitych rad narodowych w Brzezinach i Koluszkach nad niedostatecznym do tychczas funkcjonowaniem „koluszkowskiego radia”.

Komitet redakcyjny radioweżla w Koluszkach został powołany do życia w ubiegłym roku w jesieni. Przeszkolono na 3-dniowym kursie w Pabianicach na kierownika komitetu byłego reżnika, który po powrocie z kursu nie interesował się w ogóle sprawą audycji. A więc Prezydium MRN czy Pow. Rady zbagatelizowało zupełnie sprawę, typując na to odpowiedzialne stanowisko przypadkowego człowieka. W kilka miesięcy później wyszuka-



Foto CAF

no wreszcie nowego kierownika. Jest nim ob. Tadeusz Dwornik, kierownik świetlicy TPD w Koluszkach. Ale tym razem „zanie-mię” komitet redakcyjny. Nie przychodził na zebrania, nie podjął cennej inicjatywy naszego radia. A przecież w komitecie tym jest 6 nauczycieli i nauczycieli z Koluszek, jest kierownik świetlicy ZZZ, pracownik Prezydium MRN w Koluszkach i inni. Czyżby tak światły, dojrzały aktyw nie docenił wagi radiowych audycji lokalnych?

W istocie. Tak to wygląda. Bo proszę, Radioweżel Koluszki liczy w swoim obwodzie około 3 tysięcy abonentów, z tego jedna trzecia zamieszkuje miasto Koluszki a dwie trzecie okoliczne wsie. Ilu słuchaczy może mieć dobrze opracowane audycje? Skromnie licząc od 5-10 tysięcy. Oto audytorium, oto problem o który bijemy się i bić się będziemy my działacze kulturalno-oświatowi. Mieszkańcy miast, miasteczka a zwłaszcza wsi specjalnie włączają głośniki by słuchać lokalnych audycji. Ten fakt nakłada na

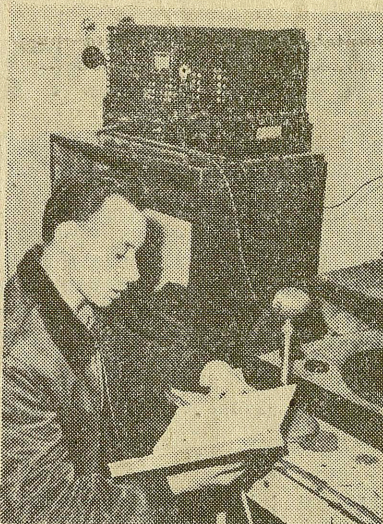


Foto CAF

komitety redakcyjne obowiązek poważnego opracowywania programów miejscowego radioweżla.

Radioweżel terenowy spełniać powinien rolę własnej lokalnej prasy no i radiostacji własnej! Te prawdy muszą zrozumieć wydziały propagandy komitetów powiatowych i przyzwy rad narodowych. To powinno dotrzeć do świadomości działaczy kulturalno - oświatowych w terenie. Radioweżel, przez który idą same suche, stereotypowe komunikaty i pogadanki odpisane z podręczników nie spełnia swej roli. Komunikaty to tego zadanie wtórne, a bojowe, naczelnne zadanie radioweżla to mobilizacja chłopów i robotników wokół zadań stawianych przez partię i Rząd w naszej okolicy, to tworzenie i urabianie opinii i świadomości politycznej słuchaczy.

Tego nie widzą jeszcze niektórzy pracownicy przyzwoitych i innych in-

stytucji. Oto w zasięgu radioweżla Koluszki znajduje się spółdzielnia produkcyjna Łaznowska Wola, Ciesów, Kol. Gałkówek, Janówka, Jordankówek i Felicjanów. W zasięgu radioweżla jest POM Bogdanka, PGR Natolin, przydzia GRN w Mikołajowie, Rokicinach, Długim, Gałkowie, Koluszkach. Nadto są 2 szkoły zawodowe i dziesiątki innych instytucji. W każdej z nich wreszcie, gorąca praca, w każdej toczy się napięta walka o Plan i wychowanie nowego człowieka. W każdej rośnie młody, bojowy i światły aktyw działaczy wiejskich.

Nie brakuje więc i brakuje nie powinno tematów dla chcącego pracować komitetu redakcyjnego; wystarczy poznać swój teren — a wtedy bogatsza i żywsza będzie treść programów. Nie brakuje też zdolnych i odpowiedzialnych współpracowników — konieczne jest tylko zorganizowanie szerokiej sieci korespondentów z poszczególnych gmin, gromad, zakładów, instytucji. Mogą to być nauczyciele, przodujący robotnicy, młodzież ZMP-owska i inni, którzy lubią pisać i których wskazuje nam terenowa rada narodowa i partia. Do naszego radioweżla mogą przecież pisać działacze tej miary, co przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Gałkowie Alfons Sokołowski, Zofia Korkacka z Felicjanowa — członek spółdzielni produkcyjnej, nauczyciel Nowacki z Będzina, sekretarz Prezydium GRN w Mikołajowie Antoni Feja, młodzież szkół zawodowych i ogólnokształcących, przodujący chłopcy i robotnicy.

Kontakt ze słuchaczami w formie audycji pt. „Nasi działacze, nasi robotnicy i chłopcy mówią” ożywi i wzbogaci program o nowe treści. Audycje będą wtedy bliższe słuchaczom i spełnią poważną rolę mobilizacyjną.

Dotychczasowy styl pracy radioweżla jest dziwnie skostniały. Komunikaty czytają (i to nie zawsze dobrze) wybrani specjalnie w tym celu lektory-spikerzy. Tak jest w radioweżle Koluszki, Stryków, Brzeziny, Ujazdu. A trzeba by przecież urozmaicić formy audycji, zapraszać przed mikrofon przodowników pracy, kierowników zakładów, dobrych uczniów; niech opowiadają o osiągnięciach i niedociągnięciach, niech wyciągają wnioski, apelują i mobilizują. To będą konkretne i pozytywne audycje. Dzięwi się, że do tej pory przed mikrofonem nie stanął przew. Prezydium MRN w Koluszkach, czy któryś ze spółdzielców z Gałkowskiej Łaznowskiej Woli, POM, itp. Oczywiście, opracowanie takiej audycji wymaga więcej pracy, ale jakże wzbogaca program.

Życie niesie dziesiątki spraw o których trzeba mówić czy pisać. Oto w Koluszkach budoje się piękny budynek szkolny, przeprowadza się elektryfikację kolei.

Trwa bitwa o jak najszybsze zbudowanie wodociągu Pilica - Łódź. W promieniu Koluszek rozwija się, krzepną, spółdzielnie produkcyjne, PGR-y, POM-y, rosną nam w oczach ludzie, przodują w pracy, wykonują i przekraczają plany. A przecież teraz rozpoczyna się u nas nowy jeszcze zaciekły etap walki klasowej, na wsi — etap walki o upiódździelenie powiatu.

W tej sytuacji właściwie prowadzony radioweżel powinien być platformą do wykonania planów i zadań nakreślonych przez partię i Rząd. Jest to bowiem dobry instrument aktywizacji mas pracujących, ułatwiający wykonanie zadań władzy ludowej w terenie.

Powiatowa Rada Narodowa w Brzezinach i MRN w Koluszkach powinny docenić ogromne znaczenie i rolę radioweżla, i przy pomocy organizacji masowych zmienić styl pracy radioweżla w Koluszkach na twórczy, organizujący i wychowujący.

Stanisław Krakowiak
Rokicin.

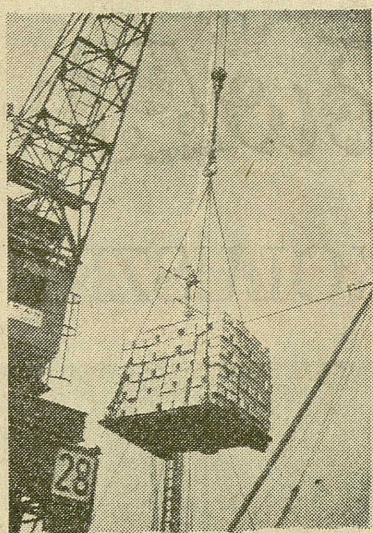


Foto — CAF

WITOLD BILLIP

Za bary z tematem współczesnym

(Praca i walka stoczniowców)

nowe sprawy, nowe konflikty. Walka o nowe metody pracy, moźolne wypracowywanie form pracy politycznej nad załogą, skomplikowana i wielostronna działalność wroga, wpływ zakładu pracy na życie robotniczej dzielnicy, udział inteligencji technicznej w walce o produkcję — oto niepełny wykaz zagadnień, które znalazły odbicie w opisywanej powieści. Wszystkie te sprawy i wiele innych, spletały się organicznie z akcją książki, wszystko to — dzięki właściwemu doborowi konfliktów i trafnej typizacji postaci — widzimy w artystycznych obrazach, poprzez losy działających bohaterów, w całym bogactwie ludzkich postaw, doznań i przeżyć.

Co najbardziej uderza w powieści, to zdecydowane zerwanie z płytkim lakierowaniem rzeczywistości — co za tym idzie — z łatwymi, powierzchownymi rozwiązaniami artystycznymi. Obraz życia, który prezentuje nam Braun, gra wszystkim barwami świata, w którym żyjemy. Barw czarnych i szarych jest w nim dużo, bardzo dużo, konfliktów nierozwiązanych lub przegranych jest wiele, bardzo wiele — i dlatego może z taką radością i zaufaniem oglądamy barwy jasne, dlatego może uważamy za przekonujące konflikty zakończone zwycięstwem.

Jesteśmy przekonani o przodującej roli partii w stoczni, chociaż organizacja partyjna pracuje źle, wierzymy w słuszność wysuwania nowych kadr, choć na przykładzie błędów Kaczora pokazał nam autor „odwrotną stronę medalu” tego zagadnienia, solidaryzujemy się z Markowskim, choć bierzemy serio niektóre zastrzeżenia z dołgi w stosunku do niego, wierzymy w możliwość wyodrębnienia się Leona, choć zawiódł on poważnie zaufanie partii i choć autor pozostawia jego losy nierozwiązane, nienawidzimy wręcz Wesołowskiego, choć zapoznaliśmy się z jego subiektywnymi racjami.

Oczywiście takie ukazanie życia we wszystkich jego odcieniach, przedstawienie doli ludzkiej we wszystkich skomplikowanych powiązaniach i zależnościach — przy zachowaniu jednakże zasadniczych prawidłowości rozwoju tego życia, zasadniczych typowości losów jego budowniczych — możliwe jest tylko wtedy, gdy wiedza autora o opisywanej rzeczywistości wykracza ze sfery ogólników, gdy każda te-

za jego światopoglądu podbudowana jest gruntownie osobistym doświadczeniem.

Ta właśnie głęboka znajomość życia jest jednym z uderzających rysów powieści. Przejawia się ona przede wszystkim w tym, co nazywać by można dojrzałością, mądrością polityczną. Przeczytajmy choćby przemówienie Kaczora na stronie 114, zapoznajmy się ze sceną, gdy nieodpowiedzialny pętał prowadzi masówkę z okazji wejścia w życie ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy, posłuchajmy rozmowy Kaczora z Markowskim na str. 318, a zrozumiemy, że tak pisać może jedynie człowiek, który pracę polityczną zna nie tylko z gazet, który dobrze wie, co i jak należy robić w każdej trudnej sytuacji.

Doskonałe opisy pracy, trafna charakterystyka niektórych postaci (przede wszystkim świetny dziadek Kaczor!) uderzająco niekiedy trafne ujęcia kompozycyjne — oto pozbawiony tych cech książki, które każą w niej upatrywać jeźdźcę nie dojrzałego do sztuki, to w każdym razie wybitnie obiecujący debiut.

*

Książka Brauna nie jest jednakże pozbawiona błędów i niedomogów, i to niekiedy tak wyraźnych i irytujących, że w wielu wypadkach zdolnych przesłonić istotne wartości utworu.

Do najważniejszych i najbardziej denerwujących błędów „Lewantów” należą niewątpliwie poważne obciążenia naturalistyczne. Zjawisko to tym bardziej niepokoi, że zdaje się stanowić jedno z niebezpieczeństw tematu współczesnego w naszej prozie. „Węglowi” krytyka zarzucała pajakowaty wygląd bohatera, a w „Lewantach” łysa czaszka Ornocha przypomina autorowi „kość obojedzoną przez mrowki”. „Węglowi” wypominają niepotrzebne przejawienia w postaci Zeflika Horbala, a w „Lewantach” inżynier Wesołowski okazuje się na str. 86 zboczencem, zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo nie z tego dla akcji powieści nie wynika. Ot tak, dla „pełności obrazu”. Lecz nie tylko na tego rodzaju „napięskach” polega naturalizm Brauna. Książka jest nim przesycona w stopniu

bardzo poważnym, większym chyba, niż „Węgieł”. Wiele naturalizmu jest w ogólnej atmosferze książki, w obrazie życia, który nam daje, w stosunku autora do większości postaci kobiecych. Rozgłoszony na kartach „Lewantów” naturalizm nie tylko razi i irytuje, ale podważa niekiedy zaufanie do słusznej i skądinąd, realistycznej ogólnej koncepcji książki, pozostaje z tą koncepcją w zasadniczej sprzeczności.

Skąd biorą się w powieści współczesnego młodego autora, który na pewno do naturalizmu świadomie nie nawiązuje, tego rodzaju błędy? Wydaje się, że w przypadku Brauna przyczyną będą dwie. Po pierwsze: autorowi, który sztywne przewidywania stawia sobie w przedwzrostku pracy postaci z Twainowskiej czytanki dla szkółek niedzielnych, który chce ukazać bohaterów dnia dzisiejszego jako ludzi „z krwi i mięsa”, nie zawsze udaje się zachować umiar w „odrabianiu” zabiegach. Po drugie — i to jest chyba przyczyną ważniejszą — autorowi wydaje się czasem, że jedyna brutalna, „zawieszista” scena zdoła wyrównać braki wyczerpującej motywacji, zdoła zastąpić głębsze uzasadnienie psychologiczne. Najmocniej odbiło się to chyba na postaci Leona, prowadząc do znamiennych wykryżeń realizmów w jej ogólnym obrazie.

O innej kategorii błędów mówią te partie książki, w których autor zapędził się w swoim programowym „antyschematyzmie” tak daleko, że wpadł w coś, co można by nazwać antyschematycznym schematyzmem. Bo czyż np. przejaśkrawiony obraz braku czujności, gdy zbrodnica działająca Wesołowskiego, o której wiedzą od Markowskiego Władze Bezpieczeństwa, a której domyślają się wszyscy niemal aktywiści stoczni, uwieczniona zostaje pełnym powrotem, nie zakrawa na nowy schemat, schemat strasznych skutków braku czujności?

Wiąże się to z następną grupą błędów — niedostatkami motywacji i kompozycji. W omawianym przypadku autor zdaje się po prostu zapomnieć, że Markowski po długim łamaniu się z sobą zameldował w UB o otrzymanych od Leona wiadomościach. Autor nie-

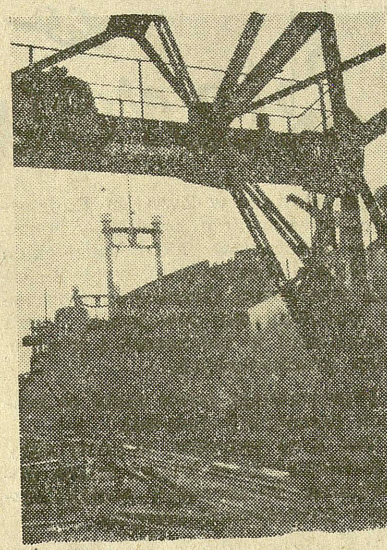


Foto — CAF

potrzebnie naraził bohatera na poważne przeżycia, z których nic dobrego nie wynikało. Po prostu zagubił ważny i dobrze rozpoczęty wątek.

Jednym z centralnych konfliktów powieści jest starcie między Markowskim a starymi przodownikami. Jednakże wymowę tego konfliktu poważnie osłabia fakt, że istnieją dwie równoprawne a różne motywacje postępowania Ornocha i Paliwody, ta ze str. 164 i ta ze str. 363. Według pierwszej starzy przodownicy boją się zmiany norm, a czynnik dodatkowy, nawet może pretekst, stanowi niechęć do Markowskiego, według drugiej — obydwa niczego tak nie pragną jak norm usprawnionych, a jednym powodem ich szkodliwego obiektywnie postępowania jest uzasadniona zresztą niechęć do Markowskiego. Obydwe motywacje prawdopodobne, lecz wyraźnie przeciwne. Ich połączenie odbija się ujemnie na rysunku dwóch postaci. Autor nie bardzo wie, jak tych ludzi traktować (w każdym z przytoczonych wypadków ocena musi być różna), tym bardziej nie wie czytelnik. Podobnych — choć nie tak rażących — niedostatków charakterystyki postaci, motywacji i kompozycji można by wymienić wiele; jedną zupełnie od nich wolną postacią jest świetny dziadek Kaczor; dostrzegając przy bardzo uważnej i doświadczonej lekturze, nie wyskakią jednak wyraźnego pęknięcia na ogólnym wrażeniu, które książka pozostawia, a które trafnie streścił Ryszard Matulewski w tytule swego artykułu: „Ambitny debiut powieściowy”.

Witold Billip

KAZIMIERZ JERZY ZALEYSKI

POD ALEKSANDRIĄ NIE BYŁO „SOMOSIERRY”



Kapitan Edmund Ruszczyński

rze i żołnierze oblepiają szalupy, tratwy i pasy ratunkowe. Stu ludzi klnie, złorzeczy i wzywa Allacha i Chrystusa. Łodzi ani tratwy nie ośmielają się spuścić na rozszalałą falę. W kotłowni 20 palaczy usiłuje wy dostać się na pokład, lecz ciężkie stalowe drzwi wodoszczelne zgęte uderzeniem fali mocniej sze są od wieka trumny. W kotłowni umierają pierwsi — ale na śmierć skazana jest cała załoga...

II.

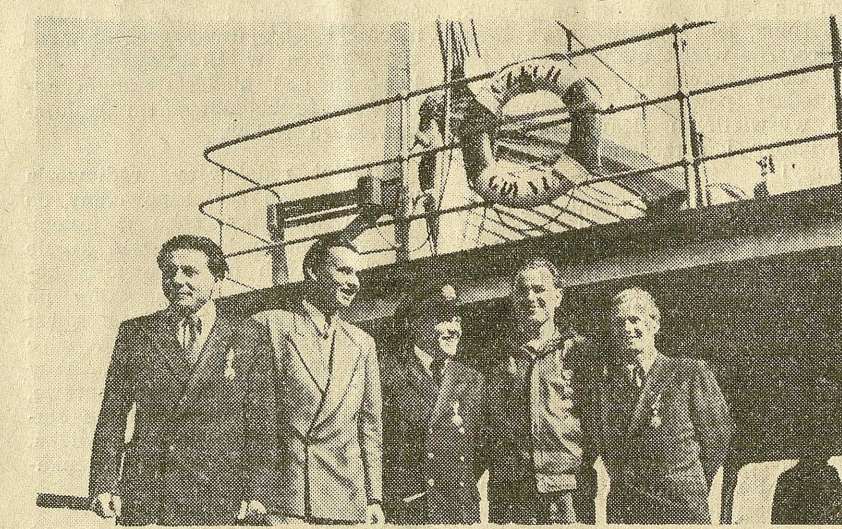
W południe 7 marca na polskim statku handlowym MS „Czech”, kiedy dochodził do falochronów w Aleksandrii, zauważono sygnał, zabraniający wjazdu do portu. Wysoka fala groziła statkom rozbiciem o przybrzeżne skały i falochrony. Co prawda niewiele mieliby z pobytu w porcie nasi chłopcy, bo w Aleksandrii, tak jak i w innych portach, gdzie sięgają imperialistyczne wpływy, nie wolno polskiemu załogom schodzić na ląd. Widok bowiem naszych marynarzy, którzy jak wiadomo nie mają rogów, chodzą w butach i przyzwyczajeni ubraniach, a w zębach nie noszą okrwawionych noży, mógłby zachwiać poglądami kształtowanymi przez amerykańską propagandę.

Na mostku kapitański wachć miał Jerzy Żukowski, I oficer. Ten 37-letni syn chłopca z Wileńszczyzny był przed wojną młodszym marynarzem. Na mostek kapitański wszedł, gdy w 1947 roku ukończył kurs oficerski. Z nawyku omiatał lotniet horyzont. Dojrzał okręt wojenny, a na jego pokładzie tłum ludzi. „Powariowali — pomyślał — w taką pogodę ludzi gnać na pokład? Wtem sygnały błyskowe. Odjął lotnietkę i zawołał „radię”. Mieczysław Szelewski radiotelegrafista potwierdził i czytał szybko migające znaki „SOS”, „walczyliśmy o utrzymanie się na wodzie, pompujemy balasty... „SOS” — ratujcie nas jak najszybciej”. Za chwilę na pokładzie stał kapitan Edmund Ruszczyński. Przez ułamek sekundy, szybciej niż bliski sygnał przetołczył zorganizowany bieg myśli:

„Podczas ataku grozi zderzenie z wrakiem, grozi zmycie z pokładu kadłub, grozi panika. „Czech” jest jednak dobrze utrzymany, załoga zgrana i wychowana. Można liczyć na taki statek i taką załogę. Narazem ich, ale wierzę w nich. Trzeba ratować”.

Prawie bez słowa porozumiał się z oficerami. Zbiegli błyskawicznie do załogi. I mechanik uprzedził maszynownię. I oficer i Kaowiec dopadli reszty marynarzy. „Za chwilę alarm szalupowy. Ratujemy egipski statek”. Na dyskusję nie było czasu, ale ani jedno czy nie odwrócić się z namysłem, ani jedno

spojrzenie nie wyraziło wahania. Nie przebrzmiały dzwonki alarmu, a każdy stał na pokładzie na swoim posterunku. Wykonano pierwszy zwrot. Szalup nie wolno było spuszczać, bo przy wariackich przechyłach mogły się z miejsca roztrzaskać. Z korwety spuszczone szalupy, ale zerwały się liny. Zawisła rufą w dół, wściekle tłukać się o kadłub wraka, a 20 marynarzy wysypało się z niej do morza i fala roztrząsała ich o stalowe burty tonącej korwety. Egipcjanie rzucili tratwy i sami za nimi skoczyli. Polski statek zbliżył się na tę nieodwrotną i niebezpieczną odległość, z której bezpośrednio można łąwić rozbitek. Ciężki był to pół. Każdą linę, każdy sztorc trzymał chwytało dziesięć rąk. Nogi tych, których już wywindowano na górę, opłatyły nieprzytomne ręce tonących. Lodowata fala zalewała pokład, a ratujących zalewał pot.



Marynarze z M/S „Czech”

Foto — CAF

Wszyscy szarpali się z linami, siatką, bosakami, sztorc trzaskami. I dwaj olbrzymi, siłacz, chłopcy-wyrwidyby — motorzysta Adamczyk i asystent maszynowy Kazimierz — jak i dwaj oficerowie o chłopięcej budowie Żukowski i Kaowiec Lewandowski, a nawet siewy, drobny ochmistrz ciągnęli, ciągnęli i wydzielali morzu człowieka za człowieka. Mały ochmistrz — Józef Tabor trząsł mokrą siwą głową, gdy mu grzywa skoczyła na plecy, lżył ślinę przez zaschnięte z wrażeń gardło, ale nie puszczając liny na której zawisło ludzkie życie.

A w dół w płatniny ramion i nóg tonących gorzały oszalałe z przerażenia oczy a twarze rozdzielali ryk wołania o pomoc. „Help” — „Help”. Wydarci morzu całowali po rękach polskich marynarzy i bełkotali „Thank You” i podziękowania w językach i narzeczach Wschodu. Nie

czas na tkiwości. Półprzytomnych polscy marynarze znosili na plecach do kajut, kilkoma cieciami noża uwalniając wyratowanych z resztek odzieży, dawali zastrzyki koraminy i kardiasolu i herbatę z koniakami, kiedy inni wciąż jeszcze walczyli o życie miotanych falą. Cztery razy MS „Czech” dokonywał manewru. Wreszcie zapadł zmrok. Przy światłach wyłowiono ostatnich. Zmordowani nędznie nasi marynarze zamienili się w najtrudniejszych sanitariuszy. Tu trzeba rozmawiać przemarniętego, tam jeszcze sztuczne oddychanie. Znoszą osobistą bieliznę, swetry, koce. Stare zabijaki plażą, ścisną ręce Polakom, wygrzebiują się z koców i szukają swych przyjaciół. Ze 117 ocalało 62.

Nasi chłopcy pociesząją jak umieją i jak starca im talentów językowych, ale jak pocieszyć człowieka, który stracił przyjaciela?

wała swe serdeczne uczucia dla Polaków.

Ale kapitan Ruszczyński kończąc swą arcydziełową relację popełnił błąd, który nie mogę mu darować. Powiedział żartobliwie „To był taki kawałek Somosierry”, mimo że każde słowo jego opowieści temu przeczyło.

Jasne bowiem jest, że akcja była ryzykiem, ale mądrym ryzykiem, bo statek i załoga byli do tego przygotowani. Statek jest pięknie utrzymany i konserwowany. Ze są tam dobrzy gospodarze to się rzuciła w oczy nawet takiemu laikowi w zakresie morskich spraw jak ja. Akcja ratownicza wymagała wielu manewrów, sterowano też przy zwrotach maszynami, ale żaden agregat nie zawodził, żadne urządzenie nie nawaliło. Załadowany był też pierwszorzędnie, dzięki czemu niezwykle stateczny, a więc dobrze wypełnił tu swój obowiązek I oficer kierujący załadunkiem, jak również gdynscy portownicy, i wreszcie sprawa załogi. Są to przeważnie młodzi ludzie, większość synowie chłopów, sporo odbyło służbę w ludowej marynarce wojennej i ludowym wojsku. Na 43 członków załogi 17 jest w partii, a 12 w ZMP.

U nas o polityce dużo się nie mówi — opowiadał mi starszy marynarz Zygmunt Wierzbicki syn marnorolnego chłopca ze Stelągów koło Sokółki Podlaskiej — Bo wiecie trudno politykę oddzielić od życia załogi. [No weźmy mnie. Przygotowuję mnie na kurs oficerski nasi oficerowie też chłopskiego pochodzenia. Przecież to też polityka, prawda? Dalej praca nasza, troska o statek, zachowanie się w obcych portach jest też mądrze pokierowanie, a to przecież też polityka. Nasz Kaowiec Lewandowski wyjaśnia wszystkie wydarzenia, więc wiemy po prostu co i dlaczego dzieje się w kraju i w świecie, ale to też polityka. A najważniejsze sprawy załogi omawiane są na organizacji partyjnej i zetemowskiej. Na zebrań też przychodzą bezpartyjni jak choćby kapitan. Nasze organizacje mają duży wpływ i na załogę i na dowództwo — a więc też polityka. I dużo by jeszcze można było mówić jak to polityka weszła w nasze życie, że aż jej w końcu nie widać...]

Ale widać i nasi marynarze to widzieli, że pod Aleksandrią dali pomoc egipskim marynarzom i żołnierzom, że echa tej pomocy rozniósł dobre imię Polski Ludowej wśród ludu egipskiego, wśród mas pracujących narodu egipskiego.

Pod Aleksandrią nie było więc „kawałka Somosierry”. Bo Somosierra jak wiadomo, to była szara na lud hiszpański, walcząca o wolność swego kraju przed imperialną inwazją Napoléona.

Kazimierz Jerzy Zaleyski

KULTURA ROLNA TO TEŻ KULTURA

(Dokończenie ze str. 1-ej)

ukowe wskazania? uczelni. Któż tu jak nie POM mógł i powinien pogłębić zaufanie spółdzielców do naukowców? Któż jak nie on mógł dopilnować stosowania wskazań uczelni? Stosunki wzajemne przebiegały niestety inaczej. Mimo częstych wizyt w spółdzielniach profesorowie i asystenci nie poznali dotąd pracowników POM. Dla POM współpraca nasza ze spółdzielniami nie istnieje, nie „mieści się w planie”...

A jednak w zbożowych i bazie paszowej spółdzielcy zrobili duże postępy i jest nadzieja, że naukowe metody w tych zakresach utrwalą i będą rozwijać. Dlaczego? Dlatego, że wprawdzie nie tu, ale gdzieś wreszcie potrafiliśmy wzbudzić w nich ów szczerzy zachwyt do naukowego ujmowania produkcji rolnej. Właśnie nie w zbożowych i nie w zielonych paszach. Było to mądre, słuszne i oczywiście pożyteczne ale namiętności jeszcze w spółdzielcach nie rozpalilo, tego porywu, który wyraża już chęć nauki i rozwija pęd do teorii. Dopiero... przy owych odczuciach ów oczekiwany i upragniony przez nas przełom. Wiosną ub. roku uczelnia przekonała spółdzielców, aby założyli fermę hodowlaną owiec.

Opory były wielkie, panuje bowiem zadawione przekonanie, że nizinia Wielkopolski nie nadaje się dla hodowli owiec. Toteż postaraliśmy się o kredyty, zakupiliśmy najlepsze owce z fermy przy WSR, pomogliśmy wycuczyć owczarza. Fakt, dokonany dał dwa wyniki. Jesienią zestrzyżono wełny z 40 matek i tryka na sumę 14 tys. zł. (co równało się sumie dłuższej za kupno owiec), a nowego przychówku przybyło 45 sztuk.

Drugi wynik wyraził się w entuzjazmie spółdzielców. Na tym przykładzie i jeszcze na jednym z kastrozowaniem byczków i tuczeniem wolców opasowych (spółdzielnia dotychczas pewna jest wykonania planu w podstawie żywa) spółdzielcy ugruntowali swój związek z nauką, jak to się mówi „od serca”. Dlatego dawny ich tryk „szkolny” stosunek do wskazań uczelni w zakresie zbożowych, hodowli i pasz zmienił się, pogłębił i ożywił.

Przykłady podobne można by mnożyć. Wszystkie one świadczą o tym, że bez przyszłych metod nie można podnosić produkcji, że bez ściślej wiedzy praktyki i nauki nie można znieść pozostawiania rolnictwa w tyle.

Chłopi z gromady Rakowo w pow. gnieźnieńskim sami zwrócili się do naukowców o pomoc, „aby dać radę gospodarzyć w spółdzielni, gdy ją założą”, bo mają, jak mówią, słabe ziemie, a chłopcy ze Skrzynka już poszli za radą i założyli w lutym spółdzielnię. Teraz proszą o pomoc w ustaleniu kierunku gospodarczego spółdzielni.

W spółdzielni produkcyjnej w Nieczajnej przeprowadzono seminarium studentów IV roku z zagadnień ekonomiki przedsiębiorstw rolnych. W seminarium wzięli bardzo żywy udział spółdzielcy w roli profesorów i rezultat był taki, że dzisiaj chłopcy w Nieczajnej sami proszą o wskazówki i wykorzystują je.

*

Przytoczone przykłady współpracy naukowców i praktyków, przykłady łączenia teorii z praktyką pokazują korzyści, jakie przynosi stosowanie produkcyjnej teorii dla praktyki.

Wiązanie się naukowców z praktyką powoduje, że uczeni układają tematy i plany swoich badań w taki sposób, by dać naszym spółdzielcom odmianny upraw i rasy zwierząt, które podnoszą plony spółdzielczych pól i wydajność spółdzielczych obór, chlewni itd.

Naukowcy WSR wyhodowali nową rasę trzody chlewniej typu krajowej świni słoninowo-mięsnej, nową rasę polskiej owcy długowłosej, przystosowanej do warunków Wielkopolski, opracowali szereg nowych metod w hodowli i zwalczaniu chorób wśród zwierząt. Opracowali proste metody wykrywania szkodliwych alkaloidów w lubinie. Sprawdzono na kilku 20 hektarowych polach doświadczalnych województwa dały rezultaty w postaci przeciętnej plonu 35 q z ha nasion bezgorycznego lubinu białego. Przyczyni się to niewątpliwie do zwiększenia bazy paszowej dla rozwijającej się hodowli. Poważne osiągnięcia mają naukowcy w dziedzinie badań i opracowań uprawy jęczmienia browarnego i ziemniaków.

Wskazania VIII Plenum Partii nakładają na naukowców obowiązek jeszcze większego wiązania się z praktyką, szerszego wychodzenia na pola spółdzielcze w myśl wskazań Józefa Stalina, który uczy, że „nie tylko praktyka powinna się uczyć u „nauki”, lecz i „nauka” nie szkodziłoby poduczyć się u „praktyki”.

Wskazania VIII Plenum Partii nakładają również obowiązek na działaczy terenowych i produkcyjnych rolników. Aby spotęgować wzrost sił wytwórczych, aby podnieść gospodarkę na najwyższy poziom nowoczesnej techniki, aby rozszerzać socjalistyczną przebudowę wsi — trzeba rozszerzać i upowszechniać wiedzę rolniczą, trzeba organizować ogniska kultury rolnej, skupiać chętnych, gromadzić wokół bibliotek i świetlic. Bieć się o ruch czystości, dyskusji i doświadczeń, konkursów, zbiórek i współzawodnictwa indywidualnego i zbiorowego.

Władysław Misluna

MIROSLAWA ŁOJEWSKA

W miasteczku zmieniających się tkaczy

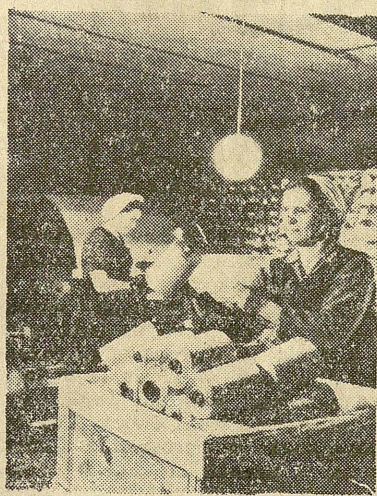


Foto — CAF

W okół Łodzi, nieczym księżycy wokół słońca, ciągnie się krąg małych miasteczek — satelitów, odbijających przed wojną w miniaturze stosunki społeczne wielkiej Łodzi. Smutne miasteczka świecą nieswoma blaskiem, nie posiadając ani trochę samodzielnosci, wrznięte w orbitę interesów wielkiej, kapitalistycznej metropolii.

Jakże żyją one dziś? Jak wygląda oblicze kulturalne tego rodzaju miasteczek — oto pytanie, jakie sobie postawiłam, powód, dla którego zawędrowałam do miasteczka tkaczy — Żelowa, leżącego około 40 km od Łodzi.

*

I oto jestem w domu starych żelowskich tkaczy. Ich wyroby zachowywały przed wojną burżuazyjnych odbiorców, wyszły, jakiemu podlegali, jednak im sympatję łódzkiej klasy robotniczej.

Kamiński jest swojego rodzaju historykiem. Równym, starannym piórem kreśli historię miasteczka, w którym na świat przyszedł, doznał wielu upokorzeń, doczekał wreszcie spokojnych lat. Mówią szczerze, wstępnym historycznym był nieco nudny. A no miasteczko założyła grupa Czechów jeszcze za czasów Drukowego-Lubeckiego. Stary ożwił się, kiedy mówimy o czasach, które pamięta lub dobrze zna z opowieści ojca-tkacza.

— Jak po drabinie na stromym zboczu jedni wjeżdżają na górę, a inni spadają, tak i u nas w Żelowie było za lat kapitalizmu. Tkacz musiał się w końcu stać albo wyzyskiwaczem, albo wyzyskiwanym. Bywało, że taki co zaczynał z trzema krosnami jak Tuczek, u którego pracowaliśmy, kończył na 30 i więcej. Tylko najbardziej rewolucyjni zdawali sobie sprawę z tego, że jest trzecie wyjście — socjalizm.

Kamiński mówi, jakby znał klasyków marksizmu na pamięć. Dowiedziałam się później, że jest rzeczywiście doskonale ocytany w literaturze marksistowskiej.

W małym pokoiku, gdzie pełno kwiatów, jakichś starych, białych już fotografii, pobczyła się rozmowa o rewolucyjnych nastrojach żelowskich tkaczy. Wanda i Bolesław Kamiński wstąpił do KPP w 1922 roku. Partia nie była liczna, ale bardzo silna i zwarta. Kiedy towarzyszył Millerowi wieszeli na kominie fabryki Jersaka czerwony sztandar w nocy na 1 Maja 1939 r., nikt się nie odważył go zdjąć, choć fabrykant dawał poważną sumę pieniędzy. Biedota tkacza wyległa na ulicę, policja granatowa waliła jak zwykle — pałkami.

— U nas był sam Waryński, a niektórzy mówią, że i Róża Luxemburg — dodaje niespodziewanie Kamińska...

*

Ku wieczorowi miasteczko cichnie. Ledwo zapada zmrok, a już ulice jakby wymarły. Są jednak miejsca tętniące życiem do późnej nocy. Antoni Cybulka, przewodniczący GRN wyciągnął dosłownie z urzędu. Byłby zapewne siedział tam jeszcze bardzo długo. Jest to człowiek jeszcze młody, będzie miał, sądząc z wyglądu, niewiele ponad 30 lat.

Typowy los chłopskiej sieroty o-powiadany na ulicach cichego miasteczka, miał jakąś szczególną wymowę.

— To było straszne miasteczko, koleżanko, straszne, dla nas chłopskich sierot. Uciekło nas ze wsi trzech. Ja pracowałam u Kosika, o tu w tym domu, dwaj kolezdy u Tuczka. Mieliśmy wtedy w 1935 roku po 12 lat.

W tamtych latach Żelów był już wcale dużą 13.000 ludzi liczącą osadą. Czterech dawnych tkaczy zdolało się do tej pory przeobrazić w fabrykantów. Tak więc były 4 fabryki mechaniczne — Reichardt, Reclawa, Stawy i Jersaka. Dalej w hierarchii postępowo kilkunastu właścicieli większej ilości krosien, z kolei niewielka grupa „liwerantów” — skuwaczy i nakładców, wreszcie kilkaset samodzielnych tkaczy i masa spoletniaryzowanych, niezależnych kiedyś właścicieli krosien, wtedy już tylko zwykłych robotników najemnych.

Fabrykanci przyjmowali do pracy tylko wysoko kwalifikowanych robotników z dawnych tkaczy, którzy nie wyrzucali konkurencji i padli.

Liweranci — najbardziej znani — widzieli wyzyskiwacze w miasteczku, to byli po prostu skupcywacze. Cybulka opowiada o nich spokojnie, lecz z wyraźną nienawiścią.

— Brali od Scheiblera z Łodzi przedzie, wzięli do Żelowa. Tkacz utkał szybko i tanio. A jeżeli nie podobała mu się cena — liwerant szedł na wieś, gdzie znajdował jeszcze tańszego robotnika. Liweranci mieli swoich robotników, wciągali w swój system wyzysku całe rodziny. Kobiety i dzieci zwiżywały przedzie w motki. Była to najgorzej płatna praca. Ja harowałam przy tym zwinianiu od rana do nocy, zarabiałem 4 złote na tydzień. Tkacz wyciągnął co najwyżej 10 zł. A i tak część tego zostawiał w sklepie liweranta, który zaprowadził obowiązek kupowania u siebie.

Cybulka opowiada bardzo interesująco. Przemierzyliśmy kilkakrotnie niewielki rynek miasteczka.

— Pracowałam i w innych „Żelowach”. Wszędzie było tak samo — w Zdunskiej Woli, Pabianicach, Zgierz czy Bełchatowie.

*

Miasteczko zmieniających się tkaczy. Oglądałam je następnego dnia w pełnym świetle wiosennego słońca. Ludzie starsi i młodzi ciągnęli do rozmaitych zakładów pracy. Używając symbolu — na tej właśnie drodze do socjalistycznego warsztatu pracy odbyła się po wojnie przemiana z żelowskich tkaczy. Ale czy to takie proste?

Tkacz — rzemieślnik wyrastał z jednej strony w atmosferze nienawiści do skupcywacza, chytrygo liweranta, z drugiej jednak marzył w skrytości o własnym, choćby niewielkim zrazu przedsiębiorstwie i chłonnym rynku. Toteż, kiedy Polska Ludowa przepezdła miasteczkowych fabrykantów i pośredników, wyprostował tkacz żelowski plecy i spojrział wstecz. Tkał potajemnie z kradzionej w fabryce przędzy, wywoził towar do sklepów łódzkiej prywatnej inicjatywy, bogacił się w trybie kapitalistycznym. Przełom stanowiący lata 1949 — 50 a więc początek naszej wspaniałej 6-letki. Tkacz ci przeszedł w części do spółdzielni pracy „Krosno”, „Okrzeja”, przede wszystkim jednak do czterech wspólnie prowadzonych fabryk. Stali się robotnikami. Ale?

— Teraz ulicę miasteczka zdążają do pracy starzy znajomi z GRN. Cybulka w gronie najlepszych aktywistów, Kubikowej i Rogulewicz.

— Weszło u was w każde rano! — Zagadnęłam i tak się zaczęła nasza poranna rozmowa.

— Weszło to jest, kiedy tyle narodu idzie do pracy, ale roboty z nim mało.

O cóż Kubikowej chodzi? Jakaż z nimi robota? Dokształcamy zawodowo? Nie w tym rzecz. Pracująca ludność miasteczka składa się obecnie głównie z dawnych tkaczy i nowoprzybyłych do miasta robotników chłopskiego pochodzenia. Są to przezwyczajnie młodzi ludzie. A więc w dużej mierze robotnicy bez tradycji proletariackich. Nie mają ich ani tkacze ani chłopci.

Kubikowa spogląda na drugą stronę wąskiej uliczki. Idą tamtędy wolno Kamińscy.

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

STO SZEŚĆDZIESIĄTA KSIĄŻKA

W końcu stycznia 1949 r. ówczesny kierownik punktu bibliotecznego w Golinie Wielkiej pow. Rawicz podpisał miesięczny raport i zaklął pod nosem:

— Psiakrew, powariowali. Kto im tu będzie książki czytał? Kto?

Wypożyczył w ostatnim miesiącu i to głównie młodzieży szkolnej, 16 tomów. Czytelnictwo w Golinie Wielkiej, mówiąc językiem miejscowych aktywistów — leżało na calego.

Ale utrzymująca się na minimalnym poziomie „wydajność” punktu, bibliotecznego zaczyna szybko wzrastać począwszy od października 1951 r. Co ów przełom zapoczątkowało? Okazuje się, że w tym miesiącu objęła punkt Rufina Galach, drobna, niepozornie wyglądająca dziewczyna, która wbrew wszystkim i wszystkim postanowiła zaszczyć chłopom z Golinie Wielkiej miłośność do książki.

Sredniacy i malorolni, pracownicy pobliskiego PGR i starsza młodzież, traktowali z początku poczynania młodej nauczycielki z dużą nieufnością. Sama pół-sierota, która z niejednego pieca chleb jadła, Galachówna zabrała się energicznie do przełamania tej nieufności. Włożyła w swą pracę młodzieńczy zapał i talent prawdziwego aktywisty kul-turalno — oświatowego na wsi.

Zaczęła od... siatkówki. Tak! Aby przyciągnąć pozaszkolną młodzież, postarała się o piłkę i siatkę, prowadziła regularne treningi, urządziła zawody. Także starsi zaczęli się pilką interesować, w sobotę popołudniu gwarno było na szkolnym dziedzińcu. A w rozmowach — mimochodem — nauczycielka sądowna opinię o sobie książkę Dowiedziała się, że młodzież nie czyta, bo „w tych książkach niema nic o miłości”. Starsi narzekali na tematykę, że za trudna, byli tacy, co woleliby zamiast powieści broszurę np. o hodowaniu kur.

Galachówna wymieniła komplet tomów. Sprowadziła więcej powieści, po raz pierwszy zjawili się w Golinie Wielkiej utworzy dla młodzieży, interesujące opowieści podróżnicze, pełne przygód. Założyła dział popularno — naukowy, gdzie

— Tak źle nie jest, bo choćby oni. Kamiński przecież jest dyrektorem naszych Zakładów Przemysłu Bawełnianego, a ona najpierwsza w Żelowie agitator. Ale większość tkaczy tkwi wciąż jeszcze silnie w starych przyzwyczajeniach, zamykają się w domach popracą na cztery spusty, są nadal jeszcze nieuspołecz-nieni. Trzeba tu kultury innego rodzaju, socjalistycznej.

Wtrąca się Cybulka.

— A młodzież chłopska, to jeszcze dzikie znarwione konie. Robi taki jeden z drugim w fabryce bardzo dobrze, ale waleśa się, popija. Stomy przed nowym etapem — ofensywa kulturalna...

*

Mała, szczupła, żywa jak srebro Ernestyna Tosik, robotnica fabryczna pochodzenia chłopskiego, informuje mnie o planach kulturalnych młodzieży.

— Na naszych zakładach książek było ponad 1000, ludzi przychodziło do pracy dobre kilkadziesiąt, a czytelników — 23. U strażaków podobno trochę lepiej, bo tam książki inne, podobnie sensacyjne i kryminały. Ostatnio zle książki zabrali, ludzie przestali czytać.

— No, a jakie szanse widzicie na ożywienie życia kulturalnego miasteczka?

Ernestyna widzi wiele możliwości. Powiada, że przede wszystkim ludzie nie mają tu prawie żadnych rozrywek. Imprezy „Artosu” są jedyną atrakcją a dostać się na nie jest niezwykle trudno. Młodzież rozpoczyna walkę o kino i radiowęzeł, który ogarnął całe miasteczko i najbliższą okolicę. Głosy młodych i starych tkaczy w rodzaju Kamińskiego budzić będą sennych żelowskich ze snu na każdej ulicy i w każdym domu. Nowy kierownik świetlicy, bardzo żywy i energiczny zajmie się ułożeniem odpowiedniego programu dla radiowęzła. Dużą jego część stanowią będą sprawy miejscowe, interwencyjne, oraz audycje humorystyczne. Głosniki zapowiadają wszystkie nowe książki, jakie nadejdą do Żelowa.

— A jak to się uda, założymy zespół artystyczny.

— A jak się i to uda?

Ernestyna nie odpowiada. Ale nie dlatego, że pytanie jest zbyt trudne. Młoda ZMP-owka po prostu zamyśliła się. Powiedziała jednak przecie:

— Znajdziemy nowe formy pracy. Nasze miasteczko trudniejsze jest do przebudowy niż jakieśkolwiek inne. Nie tworzymy klasy robotniczej z młodzieży tylko, lecz także z dawnych tkaczy, ludzi bardzo konserwatywnych i zasiedziały. Długa będzie przemiana.

Warto by, doprawdy odwiedzić Żelów za kilka miesięcy, kiedy ofensywa na pozostałości w psychice tkaczy — rzemieślników ruszy na dobre. Ale nim napiszemy w tytule następnego raportu, że Żelów to miasteczko całkowicie przemienionych tkaczy, piszcie Wy Towarzysze z Żelowa! Piszcie, jak walczyliście na froncie rewolucji kulturalnej!

Mirosława Łojewska

S. A. PIENIAŻEK

SPÓŁDZIELCZY SAD

Nie będę podawał tu cyfr, które mają wykazać, jak mało mamy w Polsce sadów i jak mało produkujemy owoców. Faktem jest, że przeciętnie zjadamy rocznie nie więcej, niż 10 — 15 kg owoców i to jest jedną z przyczyn, dlaczego nasza odporność na różnego rodzaju choroby jest niska. Aby



Foto — CAF

utrzymać zdrowie na odpowiednim poziomie, organizm nasz potrzebuje przynajmniej 50 kg owoców rocznie. Znaczący to, że dla zdrowia narodu musimy zwiększyć produkcję owoców przynajmniej czterokrotnie. Są to rzeczy jasne, wyczuwane instynktownie. Jak chory pies wynajduje rośliny lecznicze, przezuwając ich działanie, tak każdy z nas, szczególnie zaś dzieci, wyciągają ręce po owoc.

Zwiększyć produkcję owoców czterokrotnie to nielada zadanie. Jak wiele innych zadań w rolnictwie, może być ono rozwiązane tylko przez spółdzielczość produkcyjną. Sadownictwo stało się teraz dziedziną tak skomplikowaną, że dużo i dobrego owocu można wyprodukować tylko w sadzie produkcyjnym prowadzonym przez wybitnego fachowca-inżyniera.

Nowoczesna nauka sadownicza, która przez stosowanie hormonów syntetycznych reguluje ilość zawiązanych owoców, wpływa na siłę ich przyczepienia do pędów owoconośnych, próbuje im dostarczać składniki mineralne przez liście, a nie przez korzenie, nie jest w stanie oddziaływać na drobne, chłopskie sady. Jak przemysł metalurgiczny nie może opierać się na kuźniach wiejskich, tak nowoczesne sadownictwo na indywidualnie uprawianych, a raczej indywidualnie zarządzanych sadkach przydomowych.

Szczególną cechą produkcji sadowniczej jest to, że nie da się ona tak szybko zmienić, przestawić, jak produkcja rolnicza. Jabloń do pełni owocowania dochodzi dopiero po 30 latach swego życia. Zniszczyć ją łatwo. Doczekać się nowej mogą dopiero nasze dzieci.

Nikt chyba bardziej nie zdaje sobie sprawy z tego, że walka klasowa na wsi staje się coraz bardziej zacięta, niż my — sadownicy. To warowo rzecz biorąc, owoc jest głównie produktem gospodarstw kulackich, rzadziej — średniackich. Biedniackie gospodarstwa posiadają często sadyki przydomowe, ale ich produkcja idzie na zaspokojenie potrzeb własnych. Kulackie gospodarstwa, zwłaszcza w grójeckim i innych podwarszawskich powiatach, ze swoich dużych sadów zapopatrują miasta na owoce.

Gdy tylko zaczął się ruch spółdzielczy na wsi, kulak przestał zakładać sady. Odbiło się to na ilości nasadzeń w kraju. Winniśmy wysadzać co roku po 6 milionów drzew, a przynajmniej po 4 miliony, tymczasem wysadzałyśmy mniej niż 3 miliony. Kulak oddziaływał na średniaka, odradzał mu sadzenie, a jeśli zachęcał, to radził sadzić w takich częściach gospodarstwa, które uniemożliwią później scalenie pól. Takie porozrzucane po wszystkich polach sady stają się później utrapieniem złączanej w spółdzielnię wsi. Nie można w nich poprowadzić jednakowej uprawy, nie można dopilnować, a dawne przyzwyczajenia, podsypane przez ukrytych kulaków, prowadzić będą do indywidualnego korzystania z tych sadów, po prostu do kradzieży owoców przed ich pełną dojrzałością. Nie dziwnego, że w niejednej spółdzielni zapaść może uchwała — „Wyrabac to, bo korzyści nie daje, a stanowi tylko koszt niezgodny i robi złą krew”.

Żeby było gorzej, w wielu spółdzielniach, które nie miały doświadczenia, otoczone morzem kulackiej nienawiści, Sad — to inwestycja kosztowna i długofalowa, dochód przyniesie dopiero za lat najmniej piętnaście — dwadzieścia. Nie wolno takimi nieprodukcyjnymi na początku inwestycjami obciążać organizmów słabych.

Ale rozumowanie to nie było słuszne. Przecież powodzenie ruchu spółdzielczego na wsi nie zależy tylko od przyczyn ściśle obiektywnych. Gdyby tak było, spółdzielczość ogarnęłaby z miejsca 100 procent chłopów, bo rozumowo każdy z nich łatwo da się przekonać, że gospodarka wspólna jest silniejsza i lepsza niż w pojedynkę. Chodzi tu o przyczyny subiektywne, o przyzwyczajenia, przywiązanie do własnej ziemi, o nieufność wzajemną,



Foto — CAF

Jeszcze jest jedno pole, na którym kulak podcina korzenie naszego sadownictwa. Pod wpływem wielkiego Miczurina nasze sadownictwo zrywa ze zgubnymi nalciami iściami sadownictwa zachodniego, przyjmując agrobiologiczne podejście do tej dziedziny ogrodnictwa. Prawdziwym przekleństwem dotychczasowego naszego sadownictwa są drzewa wysokopienne. Wysoki pień, to jedna z głównych przyczyn wymarzania naszych sadów, rozlamywania się drzew w pełni owocowania, oraz ich małej plodności. Od kilku lat walczymy o wprowadzenie drzew niskopięnych, jakie uprawia zresztą nie tylko Związek Radziecki, ale cały świat z wyjątkiem Francji i Niemiec, gdzie wprowadzono drzewa wysokopienne. Stamtąd przybyły one i do nas. Ale nielato jest wykorzystać stare nawyki, nielato odzwyczaić chłopów od drzew wysokopięnych. Około 60 proc. szkółek drzew owocowych, to szkółki gospodarstw uspołeczniionych, głównie pegeerowskie. Pozostaje jednak jeszcze prawie 40% produkcji szkółkarskiej w posiadaniu indywidualnym. Szkółkarstwo to interes bardzo dochodowy, toteż szkółkarz prywatny, choćby nie posiadał więcej, niż 2 ha ziemi, to najczęściej kulak.

Szkółki uspołecznione są duże, prywatne — małe. W województwie łódzkim jest prawie 100 szkółek, z tego tylko cztery uspołecznionych, a ponad 90 prywatnych, chociaż liczba drzewek wyprodukowanych w szkółkach państwowych i spółdzielczych jest dwa razy większa, niż w szkółkach prywatnych. Ale siła oddziaływania szkółek prywatnych jest większa, bo jest ich tak wiele, niemal w każdej gminie jedna. Oddziaływanie to jest prawie bez wyjątku szkoldliwe, złe. Szkółki uspołecznione zgodnie ze wskazaniami nauki przesyła na produkcję drzewek niskopięnych. Szkółki prywatne pozostały przy produkcji drzewek wysokopięnych. Mało tego, żerując na konserwatywności chłopów prowadzą one szczególnie oszczerczą i wrogą propagandę przeciwko drzewom niskopięnym, świadomie przeinaczając fakty. Określają je mianem nowinek ze Wschodu, nieprzystających do naszych warunków. Dlaczego to robią? W roku szesnym państwowe szkółki sprzedawały drzewka niskopienne po 11—13 zł, a szkółkarze prywatni, po cichu wprowadzając, ale wyciągali cenę 20 zł i więcej, tłumacząc nieświadomemu chłopu, że wyprodukowane dwa razy wyższe drzewka daje dwa razy więcej korzyści. W rzeczywistości koszt wyprodukowanego drzewka wysokopięnnego wynosił nie więcej, niż 10 zł. Oznacza to 10 zł czystego, a raczej bardzo nieczystego zarobku na jednym drzewku, a 100 000 zł na jednym hektarze takich drzewek. Miał kulak interes w

tym, aby pluć na „nowinki ze Wschodu”. W rezultacie w wielu do-brych szkółkach państwowych drzewka nie zostały rozsprzedane, a szkółki prywatne sprzedawały swoje drzewka wysokopienne, które dalej podkopują byt naszego sadownictwa.

Jedynym rozwiązaniem sadownictwa w przyszłości jest jak najszybsze zakładanie dużych sadów spółdzielczych. W pierwszych latach rozwoju spółdzielczości produkcyjnej niechętnie się o takich sadach mówiło i pisało. Niektórzy ekonomiści nawet oburzali się, gdy sadownicy weśkalali się do ich planów. „Konie kują, a zaba nogę nadstawia” — mówili.

Rozumowali tak. Spółdzielnie to organizmy słabe, bez doświadczenia, otoczone morzem kulackiej nienawiści. Sad — to inwestycja kosztowna i długofalowa, dochód przyniesie dopiero za lat najmniej piętnaście — dwadzieścia. Nie wolno takimi nieprodukcyjnymi na początku inwestycjami obciążać organizmów słabych.

Ale rozumowanie to nie było słuszne. Przecież powodzenie ruchu spółdzielczego na wsi nie zależy tylko od przyczyn ściśle obiektywnych. Gdyby tak było, spółdzielczość ogarnęłaby z miejsca 100 procent chłopów, bo rozumowo każdy z nich łatwo da się przekonać, że gospodarka wspólna jest silniejsza i lepsza niż w pojedynkę. Chodzi tu o przyczyny subiektywne, o przyzwyczajenia, przywiązanie do własnej ziemi, o nieufność wzajemną,

tak bardzo przez kulaków podsyca-ną.

Sad w spółdzielni produkcyjnej, to właśnie coś, co teoretycznie może ją obciążyć, a w praktyce łączy w niej ludzi, stwarza nową i mocną więź na nowe ich życie. Gdy się planuje w spółdzielni wspólną gospodarkę, chłop pyta, „No, a sad? Jak może być postępowa gospodarka bez sadu?”. Prawda, że sad to inwestycja, ale wielkie wspólne inwestycje wiążą uczuciowo. Z jaką przyjemnością patrzył nieraz na spółdzielców z Godzianowa koło Skierniewic, gdy budowali swoją oborę. To było ich dzieło, ich duma. Mniej kosztowało „założenie szkółek i sadu w Wilamowicach na Śląsku Cieszyńskim, ale tamtejsi spółdzielcy jeszcze bardziej dumni są ze swego przedsięwzięcia. Warto posłuchać dyskusji w Kółku Miczurinowskim, które pracuje tam pełną parą. A spółdzielnia w Jackowicach za Łowiczem zakładała ma winnicę. Prawdziwa winnica na żywność kulturalnej równie. To także inwestycja, nie tylko kosztowna, ale i ryzykowna. Trzeba jednak posłuchać, jak rozprawiają o jej możliwościach członkowie spółdzielni.

Sad w pierwszych latach będzie finansowo obciążał spółdzielców, to prawda, ale te obciążenia zwróci



Foto — CAF

stokrotnie i nie za lat kilkanaście, ale od razu w postaci nowego uczucia przywiązania do nowej, wspólnej własności, która rośnie wraz ze spółdzielnią. Sad to coś, jak „dab wolności”, posadzone na pamiętkę wyzwolenia się z rąk kapitałistyczno-feudalnej przeszłości. Dlatego nie należy się obawiać, że obciążą on spółdzielnię. Dlatego sadownictwo spółdzielcze otrzymuje jak najsilniejsze poparcie naszego Rządu i Partii, bo jego rozwój zapewni dostatek owoców nam i naszym dzieciom, zapewni odpowiedni poziom zdrowia naszego narodu.

S. A. Pieniążek

BRONISŁAW CHECIŃSKI

FRASZKI WIEJSKIE

O CHŁOPIE CO SIĘ MATKI WYPIERAL

Chłop, który z matką wspólnie z gospodarką zbierał, gdy szło o obowiązki, matki się wypierał.
— Matka sobie, ja sobie osobno — widzieli.
Rzekli mu w Gminnej Radzie: — Matki się wstydzicie!

O LISACH I WILKACH W OWCZEJ SKÓRZE

Złote góry spółdzielcom kulak oblicywał:
Przyjmijcie mnie — pożytek będziecie mieć wielki,
lecz w spółdzielni nie mają — i cóż tu ukrywać —
chlewni dla wilków, lisów farbowanych wszelkich.

O ZBYT GORLIWYM PRZEWODNICZĄCYM

Spóźnił się chłop z dostawą o jeden dzień
— młocarnia się zepsuła, wszak zdarza się.

Przewodniczący nie słuchał tłumaczenia,
sto złotych grzywny wlepił i rzekł: Dowidzenia!

Niestety, nie ujrżeli się więcej — no cóż,
nazbyt gorliwy był nie urzęduje już.

MIŁOŚNIK PRZYRODY

Był w agencji listonosz, o niedbaluch jakiś,
Chciał, by pocztę za niego nosił wiatr i ptaki.
Rozpatrzone wnikiwie tę ciekawą sprawę —
Lubi przyrodę — dać go na zieloną trawę.

TADEUSZ SŁUPECKI

Historia nader smutna o Jaskółce

K ARIERA Wincentego Skowronka jako kulturalnego — jeśli nie działacza, to przynajmniej wójtowskiego — rozpoczyna się już przed wojną z momentem, kiedy Skowronek po raz pierwszy, lecz nie ostatni w życiu popił miedzi na odpuszcie i na czele siedmiu walecznych druhów z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej rozbił w drobny puch 16 straganów z piwem, bułkami i salcesonem, oszczędzając jedynie kramy z medalikami. A poszło o to, że któryś ze straganarzy ośmielił się bliźniaczko targnąć na teologiczne fundamenty Kościoła, twierdząc publicznie, jakoby jego ciemne grane piwo lepiej skutkowało na kolki w brzuchu niż gipsowa figurka świętego Pałnucego, wygraną przez Skowronka na odpustowej loteryjce.

Wspominając tę pełną kulturalnej teźny epokę, Skowronek machinalnie porównywał ją ze swym żalonym wiekiem męskim, wiekiem



Rys. B. Horsa

Kłeski. Zły los a częściowo i dawna wójtowskość żyłka kazaty mu pozostać nadal gromadzkim aktywiścią do kultury. Tyle tylko, że teraz już w Polsce Ludowej...

— Ech, ta jeich dzisiejsza kultura... — myślał żalostnie Skowronek w przypływie rozczulenia nad tamtą, drogą mu wiażą przeszłości. Wyrzynał chłopom gazety, książki, świetlice, nawet kino na kółkach, a im by trzeba tak coś po staremu... Choćby jeszcze jeden chór w kościele albo więcej figurzek świętych do procesji na niesporach...

Redaktor „Wsi” odczytał do końca maszynopis humoreski, której fragment pozwolił sobie przytoczyć na wstępie i westchnął:

— I to ma być współczesna satyra na mankamenty akcji upowszechniania kultury na wsi? Gdzież dziś jeszcze możliwy jest taki przedpotopowy mamut, marzacy nie o powiększeniu gromadzkiej biblioteki, lecz ilości figur świętych na procesjach?

Pontaważ doszedł do wniosku, że takich „mamutów” już nie ma, więc zrobił na marginesie maszynopisu adnotację:

„Nieszczęście, ale wyssane z palca. Brak rzeczywistej znajomości terenu”.

Po czym sięgnął po następną kopertę. Zawierała ona odpowiedź na ankietę, rozestaną niedawno do aktywności kulturalnych na wsi.

— Co? Co on plecie? — zżymnął się naraz, przebiegając wzrokiem ankietę.

Józef Jaskółka ze Szczepańcowej koło Głównika odpowiadał redakcji wprost, że „na wsi żadne czytelnictwo powodzenia nie ma i mieć nie będzie, a to bez to, iż chłopom teraz brak pieniędzy na prenumeratę oraz czasu na czytanie, jako że cały dzień trzusi się musząc pracować w gospodarstwach”.

— A to ci dopiero znalazł się „aktywista” — redaktor aż płaśnął dłonią po łicie. — Nie rozumie najprostszych spraw dotyczących kultury, a przy tym sam sobie przeczy... Twierdzi na przykład, że chłopom z jego wsi brak pieniędzy

na gazety, a jednocześnie pisze, iż „większość z nich pracuje dodatkowo w fabrykach, bo gospodarki u nas małe”. Czyli — analizował redaktor — jest i skromny dochód z rolnictwa i niezgorszy zarobek z fabryki. Widzi też nasz Jaskółka brak czasu na czytanie z powodu „nieograniczonych godzin pracy indywidualnego chłopca”, a mimo to z uporem podkreśla, że „to kontraktacja i spółdzielnia produkcyjna jest najgorszy a wrogim rolników”, jakby ta „spółdzielnia nie była jedyną formą gospodarki rolnej, gdzie chłop może się wyzwołać od zmyłu tych „nieograniczonych ilości godzin pracy” i swego dotychczasowego, wyjątkowo z kulturalnych potrzeb życia...

— Albo taki znów kwiatek — ciągnął w myślach redaktor. — Pisze ów Jaskółka ze Szczepańcowej, że „rolnik nie ma teraz opłacalności swych produktów”. Jakby już zapomniał, że to metrowo żyła musiał sprzedawać przed wojną, aby nabyć plug czy liche garnitury i jak to Państwo Ludowe postawiło nierzecie chłopu na nogi przez system kontraktacji i statych cen! Albo takie zdanie: „W mieście nie mają zajęcia, to mają czas czytać”. Też dobre sobie! Patrząc dziś na miasto przez pokapitałistyczny mit o mieście-pijawce uświ! „Dajcie rolnikowi więcej nawozów sztucznych, żelaza i cementu, a on już sam będzie bez czytania wiedział, co robić”. Przecież ten człowiek nie tylko, że nie rozumie znaczenia upowszechniania nowoczesnej wiedzy agrarnej dla rolnictwa, ale nie widzi przy tym ani naszego gospodarczego przemysłu i jego ogromnych potrzeb, ani sojuszu robotniczo-chłopskiego!

„Korespondować z Wami przestanie, bo to kosztuje mnie i czas i papier i znaczki, a chłopom wcale czytanie i tak nie w głowie a i ja sam rychno tę waszą kulturę porzucę, bo widzę, iż żadnego stąd dochodu nie uzyskam”.



Rys. B. Horsa

— A rzucą do stu diabłów! Rzucać zanim się gromada sama ze swego życia nie wyrzuci! Ze też wśród naszego dzielnego aktywu kulturalnego na wsi trafiają się jeszcze tacy zamaskowani „aktywiści”! Im to właśnie chóry kościelne organizować albo gipsowe figurki na procesjach nosić! Na tym zawsze można było zarobić! Choćby obietnicę raju po śmierci!... — zżymnął się redaktor po raz drugi i ostatni, ponieważ akurat wrócił jego traft na tak lekceważące przedtem potraktowany maszynopis humoreski o Wincentym Skowronku...

— Hm... — mruknął po chwili jakby namyślu. — Hm... Wprawdzie ten nazywa się Jaskółka, ale może by jednak warto ją było przeczytać drugi raz? Zdało się, że porusza ona temat dość jeszcze istotny na obecnym etapie naszej walki o rozwój socjalistycznej kultury na wsi...

P. S. od autora: Dla zachowania kompozycyjnej równowagi niniejszego felietonu należy jeszcze wyjaśnić czytelnikom genezę jego tytułu. Otóż historia o gromadzkim aktywiście kulturalnym Jaskółce ze Szczepańcowej dlatego została nazwana nader smutną, bo pomimo pozorów — jest ona do końca prawdziwa.

Tadeusz Słupecki

JÓZEF POGAN

Pomorska świetlica w Dobrodzieniu

M ŁODY, dwudziestoletni traktorzysta Kuś Józef z Państwowego Ośrodka Maszynowego w Dobrodzieniu (powiat Lublińsko), przypomni nieraz dziadkowi żartobliwie:

— Oraleś we dworach bykami, a ja teraz orzę traktorem. Wyście orali jaśniepanom na rozkosze życiowe, ja orzę na chleb całemu narodowi.

— He, he synku, to nie twoja zasługa, — nie — dziadek otwiera bezbłędną gębę, śmieje się dobroduszenie — ino może takich jak ja, co o ten traktor, o ten nowy porządek na świecie walczyli z jaśniepanami i innymi gniebielcami ludu. Tyleż teraz powinni być dumny z tego, że twój dziadek i ojciec torowali ci drogę do ludzkiego życia. Tobie imo pracować, pracować, uczę się przy tym i iść naprzód. Droga otwarta wszędy i wzdłuż.

Wnuczek też się śmieje wraz z dziadkiem. Wyrabia przecież na swoim „Ursusie” w spółdzielni produkcyjnej 190 procent normy. Uczy się także i to bardzo pilnie. Oczywiście, nie w szkole, tylko w świetlicy POM-owskiej. Nie tylko on, świetlica bowiem każdego wieczoru jest licznie odwiedzana przez pracowników POM, przede wszystkim przez młodzież. Teraz trochę tam przestrzennie, traktorzyści bowiem wyjechali do pracy w spółdzielniach produkcyjnych. Ale gdy się zajrzy w zimowy wieczór, to aż radość patrzeć na ten młodzieńczy zapał do oświaty i kultury. Wprawdzie niektórzy grają w ping-ponga i szachy, ale większość czyta z zainteresowaniem dzienniki i czasopisma (prenumerują 14 różnych tytułów) lub słucha radia. Właśnie miłośników słuchania radia jest sporo.

Po referacie Bolesława Bieruta na Zjeździe Spółdzielczości, nadanym przez radio na zebraniu masowym padło 11 zobowiązań indywidualnych i kilka zespołowych. 12 marca podjęto nowych 13 indywidualnych zobowiązań i 6 zespołowych. To znaczy, że wszyscy traktorzyści, mechanicy warsztatowi i inni pracownicy podjęli zobowiązania m. innymi takie, jak wyoranie do końca

roku przeszło 2000 (dwa tysiące) hektarów.

Przypatrzmy się pracy świetlicy, która jest kuznią nie tylko ich szkolenia społeczno-kulturalnego, lecz też pośrednio i zawodowego.

Przewodniczący POM-owskiego Koła ZMP, Janta Karol, mechanik rejonowy, reparaujący maszyny przy pracy w polach, liczy zaledwie 20 lat. On właśnie jest najbardziej zapalonym słuchaczem audycji radiowych, czytelnikiem prasy i dyskutantem nad wysłuchaną i przeczytaną treścią. Jest ciekawą audycją, artykuł w prasie, referat, czy pogadanka w świetlicy — już Janta zabiera głos i żywo treść komentuje. Wnioski wyraża logicznie, zdrowie i mobilizujące. Żywo też interesuje się całością pracy swego zakładu. Ale nie tylko to — Janta to świetny agitator i licznie ściga go do świetlicy pozapomorską młodzież, która włącza się w rytm pracy POM-owskiego Koła ZMP, liczącego 50 członków.

Śladem Janty idzie siedemnastoletni Krzywono, pomocnik warsztatowy, syn szofera z Dobrodzienia. Tak samo jak Janta, ściga go do świetlicy pozapomorską młodzież. Dzięki jego pracy organizacyjnej,

Ludowy Zespół Sportowy przy świetlicy POM-owskiej, liczy przeszło 40 osób. Równocześnie bardzo dużo czyta.

Świeżo upieczony traktorzysta, Kazimierz Ryszard, syn małodziejnego chłopca z sąsiednich Bolesławic, pierwszą orkę po kursie rozpoczął w spółdzielni produkcyjnej Jeżowa. I od razu zaczął przodować. Orze nie tylko ponad normę, ale tak starannie, że spółdzielcy zwrócili się z prośbą do POM, by właśnie Kazimierza całość pracy wiosennej u nich przeprowadził. Swoją zawód pokochał właśnie poprzez uświadomienie społeczne w świetlicy. Nigdy też nie pominie, gdy tylko czas na to pozwala. Wieczorami przyjeżdża rowerem i bezinteresownie prowadzi POM-owską bibliotekę.

Wystarczy choć tytuł dla przykładu ukazać. Takich jest o wiele więcej i dzięki ich pracy rozwija się życie świetlicowe. Świetlica ma zespół samokształceniowy i muzyczny, 650-tomową bibliotekę, stannie i pomyslowo redagowaną co miesiąc gazetkę ścienną. Nie brakuje też wykresów i rysunków obrazujących pracę i osiągnięcia w okolicznych spółdzielniach produkcyjnych.



Foto CAP

Gazetka gminna

Kujawiak „po amerykańsku”

Miałam szczęście oglądać występ „Artosu”, na którym publiczność bawiła się doskonale. Podczas „wywiadu dziennikarskiego” z przodującym dojarzą chłopakiem, który się śmiechał z monologu kłuskiego „demokraty” wderował wybuchy wesołości. Wszystko byłoby się skończyło jak najlepiej ku zadowoleniu artystów i publiczności, gdyby... nie tamie ludowy a ściślej — „kujawiak”.

Wysłała na scenę niezłego solista czarunka z ginstym makietą we włosach, w białej bluzce z szerokimi rękawami i przyszytą, paslasej spódnicy z jedwabnych wstążek, czyli w stroju łowickim, wykonanym z materiałów nabytych w stoiskach galanterijnych. Grunt, że były pasy, kto by tam martwił się o kolory i układ!

„I jak nie fiknie nogą! Zdaowało się, że komus wiepiu tegiego kopiańka. Po tem podobno na drugi koniec sceny, jakby jej kto nogi w kostkach spętał sznurkiem. Tu znów kopiańka zamasył się powietrze, nieczym przodujący futbolista piłki. Nagle odskończył od bariery na sam środek sceny i tutaj zaczęła kręcić się na podobieństwo drewnianego baka w mistrzowskim piruecie. Spódnica rozpięła się na wysokości bioder, a kształcie najmodniejszego parasała a wiosenny wiatr, prawdziwy zbytkownik, poderwał ją jeszcze wyżej i okrył dookoła głową.

— Hiiiiiii... — zaniosła się kobiecina siedząc obok mnie z lewej strony.
— Oooooooh! — zawtórowała sąsiadka z prawej strony, ścagając chustkę na górę polowe użyczy.

Kobieta siedząca przede mną nie miała co ścigać na czy, gdyż przysła z odkrytą głową i była zajęta inną robotą. Przysłała obiera reklamą głównie ośmiolatego chłopaka do podokła, a ten wierzył z całej siły i chrypał ostrzegawczo między fałdami zapaski: Mamu puśćta, bo jak was hukną głową w dół, to wam dech zaprze!

— Hi-hi-hi-hi — dawała się ordynarnym śmiechem gromada podróżków.

Józek, a nie patrzcie tam, bo ci tak skórze zleje, że do drugiej Wielkanocy popamiętasz.

Z boku rechotała grupa kawalerów i syptała grubymi dźwiękami...

Wszystko na swój koniec i ten amerykański charakter, z pionującymi efektami, też dobiegł do końca, lecz przedtem polowa widzów wyniosła się do domu.

Wniosek? Jeśli ktoś decyduje się występować z tańcem ludowym, powinien znać jego charakter, zaś ten kto angażuje wykonawcę (w tym wypadku „Artos”) ma obowiązek zatroszczyć się, by tańców ludowych nie tańczono „po amerykańsku”, a brano przykład z „Mazowsza”.

Krystyna Palys.

Trzech na jednego

Zgaduj zgadula, czemu się tak marnie do niedawna wiodło Michałowi Mazurowi z gromady Mierzeja, gm. Wądroże Wielkie, pow. Legnica? Gospodarz z niego przecież dobry. Czyżby czyś nie wydrzył mu się miniony rok? Skądzie znowu, hodowle rozwinał, produkcję mleka potroił, rozszerzył także uprawę buraka. Więc może państwu nie odstawił, wywoził na czarny rynek i przykapał go milicją? Nie obrażajmy Mazura, jest to bowiem sumienny, patriotyczny chłop.

Cóż się więc takiego stało, że ten wcale nie biedny chłop o mało nie ogłoszł upadłości?

Ano przytrafiło mu się największe nieszczęście, jakie może spotkać producenta chłopskiego. Wszedł mu w drogę szkoldnik gowory na stonka czy słodziej. Trafił na szkoldnika powstającego ze skrzyżowania biurokraty z bumelanem. To pan Janta Stanisław inspektor mleczarski, czarujący mężczyzna pod zabójczym wasmem, jeden z tych co to oczyma w biały dzień gwiazd szuka, a przyziemnej buchalteri nie znoś. I rzeczywiście, Mazur regularnie otrzymywał 100 złotych zamiast 300 za każdy transport mleka.

Drugim szkoldnikiem do sam kierownik punktu skupu. Także do wyższych celów stworzony chłop, krzyżówka nadgorliwca, z wodociągami, leje słowa jak wodę, „Dawaj chłopie zboże, ino przedkuj, a po pieniądze nie lataj jak wulgarny materialista!” — tyle się o naleźnoś Mazur dowiedział.

Trzeci, z cukrowni w Jaworze Starym, to nie tyle szkoldny, ile dokuczliwy egzemplarz, nazywany opieszałkiem pospolitym. Płaci zawsze niechętnie, zawsze z wielkim bólem.

Mógł takich trzech jednego chłopca wykończyć, prawda? Ale Mazur nie z tych, co placzą po kątach. Halaus! w prasie narobił, trafił i do naszej Gazetki Gminnej. Zając stulił uszy i pomknął w niewiadomym kierunku, za zboże zapłacił bez gadania, a i cukrownia przysłała chłopu ładne kilka tysięcy złotych za uczciwą pracę.

Z tego zaś moral tak, że ze szkoldnikami zawsze sobie można poradzić.

Jerzy Smutny

Przyjaźń?

Ręka ręce myje, noga nogę wspiera — nie ma to doprawdy piękniejszego widoku, nad dwóch działaczy społecznych stosujących bliźniacze metody pracy spoglądających na siebie i zyczliwie, spieszących sobie z pomocą przy łada okazji.

Ostatnim tego rodzaju znanym w ciechanowskim powiecie. Zyl tam sobie nieźle Tomaszewski Janusz, przewodniczący Koła ZMP w gromadzie Turów i kum jego Jeziński, gminny prezes ZMP w Bartolobów i z powrotem. Bardziej zasłużył awansował nawet na posłańców miłośki, roznosząc dyskretnie, boło we wiersze miłosne naszych przędów.

I tyle słów o przyjaźni. Zakonczyła się ona bardzo nieprzyjemnie. Mianowicie kilku „lauftrów” bardziej w biegnie zaprawionych, doleciało aż do Zarządu Powiatowego ZMP w Ciechanowie, gdzie przez pomyłkę doręczyli pocztę miłosną. No! Jak wam się zdaje? Nie ma obawy, przywołano obu przyjacieli do porządku.

Jan Wichura

Droga do nieba

Kiedy Józef Czelný z gromady Zięcin, gm. Chodzież, pow. Krosno, zbierał się, a było to jeszcze przed wojną, zwykły mawiał w ten sposób:

— Kto Boga w sercu nosi, na ofiarę dale, nie leni się, pracuje i oszczędza, komu los do dobrej żony, ten się ku chwale świętych i zwykłych ludzi spokojnie dorobi.

Czelný miał — jak się wydawało — większość tych cnót. Rzeczywiście oszczędzał żonę los mu podarował dobrą kure znoszącą złote jajka. Dorobił się też szybko dużego gospodarstwa, miłna i taktu. Nie wiadomo tylko było, jak tam u niego z Bogiem w sercu.

Sprawa wyjaśniła się dopiero po wojnie, kilka miesięcy temu. Po 30-stu latach pożycia z „mistrzem oszczędności”, poboznym w narodach powiatowym, zapadła na chorobę nerwową, po prostu zwariował. Cóż uczynił światobliwy małżonek? Zadał przede wszystkim o zbawienie obłąkanego duszy. Wiedział z żywotów świętych, że droga do nieba łatwiej się dla tych otwiera, którzy w nędzy i ubóstwie pozostają. Puścił tedy żonę z torbami na dzia-

dy, niechże sobie spokojnie zbawienie wieczne wyzberze. By jednak stało się zupełnie oczywiste, że Genowefa nie ma nic wspólnego z bogactwem — mylnym, taktikiem i morgami, wymógł na kandydata do nieba podpis na akcie rozwodowym.

Prawo nierz usiłowało pokrzyżować szlachetne zamiary człowieka. Cała sztuka polega w takich wypadkach na tym, żeby prawo ominię i być równocześnie z nim w porządku. Zażądano opiekuna dla Genowefy. Jak to nasz Józef w sądzie kroszeńskim załatwił tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że zaproponował na opiekuna córkę Genowefy, właścicielkę dobrze prosperującego zakładu fotograficznego. Ona to, podobnie, jak Józef, uważała, że wszelkie dostatek mogły sprowadzić Genowefę z drogi do nieba. Dlatego też z czystej miłości bliźniego, odganiała się od wszelkiej pomocy.

I tak to po gromadzie snuje się, plać i żebrze, człowiek wrogi, skazany przez swoją pobożną rodzinę na zbawienie wieczne. Uchował nas Panie Boże od takiej pobożności!

Plotr Pigwa

CZ. NIEDZIELSKI

Pisarze pomorskiej ziemi

W jaki sposób można by replikować na artykuł Seweryna Skulskiego z numeru 14 „Wsi”, wyrażam „rozszerezenia się” autora, lecz opiera się na faktach co najmniej urojonych, na przypuszczeniach błędnych i całkowicie nieuzasadnionych. Nie ma powodu wyszczerzać polemiki z twierdzeniem Seweryna Skulskiego. Należy je jedynie autorowi i czytelnikom wyjaśnienie. Nie wolno bowiem pominąć milczeniem wypowiedzi, w której autor nie żądał sobie tytułu, ażeby właściwie zrozumieć niektóre stanowiska w dyskusji, opierając się na „Gazecie Pomorskiej”.

Jak było z dyskusją? Pierwsza toczyła się w 1950 roku Rozważano sprawę ożywienia życia kulturalnego i literackiego na terenie bydgoskim. Rezultatem tej dyskusji nie należy przeoczyć, że to jest jedyną, która zwołowała ona na właściwe pokierowanie zorganizowanym wówczas Kołem Młodych, przyczyniając się do powstania „Nowego Toru” — dodatku literackiego „Gazety Pomorskiej”. Nie było to rzeczka blaha. „Nowy Tor” umożliwił wielu członkom z Koła Młodych publikowanie swych utworów, dał przede wszystkim możliwość odzwierciedlania w sposób interaktywny problemów naszego terenu. Równocześnie jednak, dwustronny dodatek jest jedynie namiastką warunków, które umożliwiłyby w sposób szerszy i głębszy opierać bogatą tematykę i problematykę naszego terenu. Stąd się rzeczy brak reportażu opowiadania czy noweli. Te gatunki literackie reprezentowane są przez naszych kolegów w programach i tenisty literackiej. Uwagę słuchacz odinków lokalnych stosunkowo często spotyka nazwiska znane ze szpał „Nowego Toru”. Mimo tych trudności właśnie w skromnym „Nowym Torze” debiutowali nasi młodzi kolecy, tu regularnie ukazują się stosunkowo bogata twórczość poetycka członków Koła Młodych.

Drugą dyskusję spowodował artykuł Stanisława Medelskiego o braku aktywności twórczej członków bydgoskiego oddziału ZLP. Artykuł Medelskiego w ogólnych uwagach i postulatach należy uznać za słuszny. Z drugiej zaś strony należy stwierdzić — mimo stanowiska Skulskiego — że środowisko bydgoskie literatami, od których mamy prawo i możemy domagać się aktywności, bogatą obstarane nie jest. Jak się rzekło, artykuł ten wywołał dyskusję. Czy celowa? Może rzeczywiście nie była wyszczęta z myślą o jakiejś radykalnej zmianie stosunków, ale umożliwiła wykrzycze szeregu nieporozumień, dała powód do zajęcia stanowisk krytycznych.

Pozwoliłem sobie również na zabranie głosu w tej dyskusji. Seweryn Skulski imputuje mi stanowisko, z którym nie wspólnego jednak nie miałem: „Wylewa on (tzn. ja) gorzkie łzy nad brakiem tematów”. Dalej, Ponieważ wspomnieliśmy o wykończonym temacie z Włocławka przez Igora Nowyńskiego na porzeczce, że dyskusja nad tym czy dostarcza tematów literackich nasz teren, nie ma sensu, Skulski konkluduje: „Nie jest dobrze z pomorskimi literatami, jeżeli zamierzają ziemię pomorską odgrywać, aby nie wyszczerzać z innych terenów wiołców literackich, wypuszczających się w celu wykradania tematów literackich...”. Pozwoliłem na przytoczenie wyjątku z mej wypowiedzi dyskusyjnej, która stała się powodem dożądania tematyki z terenu Włocławka. Zatem zastanawiam się szczególnie z tego względu, że Nowy „ukradł” nam piękny temat z pobliskiego Włocławka.

Uścizyłość nie jest wskazana, wybaczenie, zdanie takie nasuwało się jednak mimo woli przy zachowaniu jedynie prawideł logicznego myślenia. Nie jest jeszcze krok dalej i stwierdź, że nie dostrzegła się w naszym środowisku literacko-kulturalnym rzeczywistych problemów, wartych przedyskutowania i publicznego rozważania. Raczej wskazano konkretne odcinki, które nie miały z życia jako terenu dla twórczej pracy bydgoskiego literata i podsuniecie problematyki wniesie, moim zdaniem, o wiele więcej do dyskusji, aniżeli zastanawianie się az do sprzykania nad tym, czy istnieje materiał do opracowania literackiego.

Jaki jest stosunek edia i prasy do potrakujących pisarzy?

Czuje się sam pełen winy, ponieważ nie trzeba było wprowadzać choćby tylko cienia ironii do mojego artykułu.

Metoda ta jest jednak używana dość powszechnie i nie zrywnała z niej — choć dość swobodnie ją pojmując — również Seweryn Skulski. Jednak posadzenie literatów naszego terenu o to, że „Czekaj na lepsze czasy” oraz, że „Życie i czas, który zbędzie” dziś idzie, na pewno ich przerosła i słabo im odpowiada. Gdyby to zrobiono w formie nawet jak najbardziej dowcipnej, a nie pseudodowcipnej, jak to uczynił Skulski, byłoby nie tylko nieporozumieniem, lecz krzywdzącą uwagą. Do takiego stwierdzenia nie upowaznia wskazanie dziesiątek nawet tematów, których pomorscy literaci sami nabyli do odkrycia nie potrafili. Odpowiedzialność za to, co się pisze i krytykuje, obowiązuje z całą stanowczością.

Czesław Niedzielski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL	Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50	Adres redakcji: Warszawa, ul. Starowiejska nr 7
Tel: Red. Nacz. 863-88	Tel: Redakcji 8701, wewnętrzny 5, 73, 8
mies. — 4,50 zł, kwartalnie — 13,50 zł, półrocznie — 27,50 zł, rocznie — 55,20 zł.	Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5	4-B-15425

REDAKCJA